

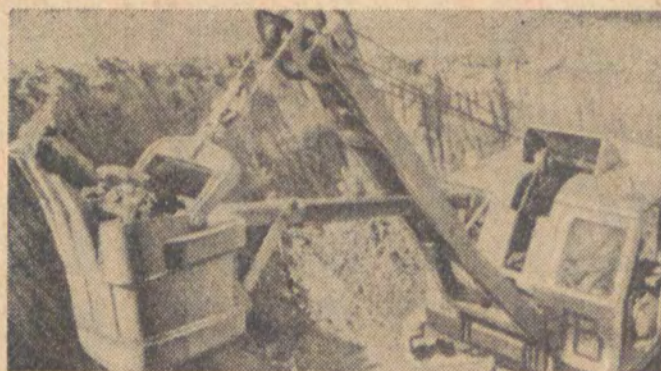
STR. 115



WITAMY
BRACI
z WĘGIER

STR. 112

TAM,
GDZIE



DIABEŁ MÓWI DOBRANOC...

HALLO,
TU MÓWI ŁÓDŹ...

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 20 (910)

15 MAJA 1975 ROKU

CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY



REKOMENDACJE

Dwa tematy dominują wyraźnie w treści dzisiejszego numeru. Temat numer jeden, to obchody „Dni województwa Csongrád” na Ziemi Łódzkiej oraz temat drugi – 50 rocznica powstania polskiej radiofonii.

Trwająca od wieków przyjaźń narodów polskiego i węgierskiego znajduje coraz to nowe formy jej pogłębiania. W tym roku gościć będziemy w naszym województwie liczne zespoły artystyczne, przedstawiciele nauki i sztuki, sportowców, obejrzymy wystawy, na których nasi pobratymcy zaprezentują nam swój dorobek ostatniego trzydziestolecia. Niezależnie od tego co przywieźli nasi Goście, przygotowaliśmy dla Czytelników próbki pięknej prozy i poezji węgierskiej w tłumaczeniu naszych pisarzy. Wierzmy, iż będzie to preludium do utrzymania jeszcze ściślejszych i serdeczniejszych kontaktów łączących dwa bratnie narody. **SERDECZNIE WITAMY NA ZIEMI ŁÓDZKIEJ!**

Radio jest to w istocie gazeta gigantyczna – pisze Jerzy Wilmański w swym artykule: „Hallo, tu mówi Łódź...” Dlatego też bez wahania oddaliśmy we władanie Jubilatów większość łamów naszego pisma. Niech Oni sami mówią i piszą o swej ciężkiej, odpowiedzialnej, ale jakże ciekawej pracy. Czytelnik znajdzie jednak nie tylko same refleksje i wspomnienia naszych radiowców. Dają Oni również próbkę swej bogatej twórczości. Bo wszak nim słowo pójdzie w eter, trzeba je zapisać. Tak normalnie – jak do książki, gazety czy czasopisma. Czy faktycznie tak normalnie? Odpowiedź na to pytanie zostawiamy samym Czytelnikom, a Radiowcom życzymy **STU LAT!**

REPORTAŻ

KRZYSZTOF POGORZELEC

TAM, GDZIE DIABEŁ MÓWI, DOBRANOC...



JESTEŚMY POTĘGĄ! RZECZ TO TAK OCZYWISTA, ŻE WIEDZĄ O TYM NAWET PRZEDSZKOLAKI. TAK – MAMY WĘGIEL, DUŻO WĘGIA, KTOŚ NAWET OBLICZYŁ, ŻE ZA 157 MILIONÓW TON WĘGIA, KTÓRE WYDOBYLIŚMY Z NASZYCH KOPALNÍ W ROKU 1973 DAŁOBY SIĘ USYPAC „NIEZŁĄ” GÓRĘ O PODSTAWIE LICZĄCEJ 1200 METRÓW I WYSOKIEJ NA JAKIEŚ 600 METRÓW. BAGATELA!

PODEJRZEWAM, ŻE TAKICH EFEKTOWNYCH PORÓWNAŃ MOŻNA W PRZYPADKU WĘGIA ZROBIĆ ZNACZNIE WIĘCEJ, POWIEDZMY – CZARNE ZŁOTO, CZARNE DIAMENTY...

W PORZĄDKU – TYLKO ŻE TAK NA DOBRĄ SPRAWĘ TO BEZ TYCH DIAMENTÓW I ZŁOTA CZŁOWIEK MÓGŁBY SIĘ Z POWODZENIEM OBEJŚĆ, NATOMIAST WĘGIEL TO CIĄGLE: ŚWIATŁO, CIEPŁO, OGROMNA ILOŚĆ ROZMAITYCH PRODUKTÓW CHEMICZNYCH – OD KOSMETYKÓW PO LEKARSTWA, A WRESZCIE DEWIZY; ZA CO DRUGĄ ZŁOTÓWKĄ UZYSKANĄ Z EKSPORTU STOI WĘGIEL.

CHYBA WYSTARCZY, TAK „NA WAGĘ” BIORĄC W CHARAKTERZE WIZYTÓWKI. ALE WSZYSTKO TO ODNOSI SIĘ DO WĘGIA, DO SKARBU, PO KTÓRY JUŻ SIĘGNĘLIŚMY. WIĘC?

PROLOG

9 stycznia, wieczorem speaker TV rozpoczął dziennik informacją: „Rada Ministrów przyjęła wniosek i podjęła decyzję o rozpoczęciu eksplo-

atacji złóż węgla kamiennego zalegającego w województwie lubelskim”.

Stało się. Dochodzące z różnych stron wieści znalazły oficjalne potwierdzenie. **MAMY NOWY WĘGIEL!** Mówiło się o takiej możliwości już

wcześniej. Przed kilkoma laty PSP puścił „w Polskę” wywiad udzielony jej przedstawicielowi przez doc. Mieczysława Mrozowskiego, ówczesnego prezesa Centralnego Urzędu Geologicznego. Stwierdził on m. in.: Prace grupy fachowców z Instytutu Geologicznego prowadzone przez parę lat w tym rejonie wykazywały obecność warstw tzw. karbonu produktynowego, w której to formacji geologicznej występują na świecie największe złoża węgla kamiennego.”

Co bardziej interesujący się tropieniem skarbów naszej ziemi znali też jeszcze inne nazwisko: prof. Jan Samsonowicz. W roku 1922 prowadził on badania w rejonie Bugu i wtedy natknął się na jakiegoś dziwnego, czarne kamienie z wyraźnymi śladami tak bardzo charakterystycznymi dla karbonu. Rzecz jednak przytłoczyła mimo skwapliwego odnotowania znaleziska przez Polską Akademię Umiejętności. A potem – no cóż, przyszła wojna. Dopiero w roku 1955 prof. Samsonowicz powołując się m. in. na fakt powstania po drugiej, radzieckiej stronie Bugu kopalń Zagłębia Wołyńsko-Lwo-

RADIO

JERZY WILMAŃSKI

HALLO, TU MÓWI ŁÓDŹ...

Patrząc z rozrewnieniem na starą mapkę stanowiącą chyba pendant do owej noty w kronice Polskiego Radia, noty głoszącej: „2 lutego 1930. W Łodzi uruchomiono radiostację PR o mocy 2 KW, działającą na fali 224 m, początkowo jako stacja retransmisyjna”. I dalej: „15 lutego 1930. W Łodzi odbyło się oficjalne otwarcie rozgłośni PR”.

I potem już w Kronice Polskiego Radia noty „łódzkie” spotykamy coraz częściej. „2 lutego 1933. Rozgłośnia Łódzka w trzydziestolecie działalności otrzymała własne programy lokalne”. Dotąd nadawano tylko w programie własnym: komunikaty gospodarcze opracowywane przez Izbę Przemysłowo-Handlową, bieżące wiadomości lokalne, skrzynkę pocztową i koncerty życzeń. Od 1 maja 1930 roku red. Jan Piotrowski prowadził „skrzynkę”, z której powstała Łódzka Rodzina Radiowa opiekująca się niewidomymi dziećmi województwa łódzkiego.

Patrząc na fotografię Bohdana Pawłowicza, bodaj pierwszego dyrektora Rozgłośni Łódzkiej. Przed nim na stojaku wielkie metalowe koło, średnicy mniej więcej kierownicy samochodowej. W środku koła pudło o rozmiarach dzisiejszego tranzystora marki „Laura”. To był mikrofon...

Wróćmy jednak do starej mapy. Na dole napis „Polskie Radio – Łódź”. Podpis – „zasieg odbioru rozgłośni łódzkiej”. Ho, ho gdzie to nas wówczas nie słuchano! Na mapie miejscowości dalekie – Aleksandrów, Pabianice, Konstantynów, a nawet Koluszki i Ozorków!

ciąg dalszy na str. 12

ciąg dalszy na str. 5

REFORMY CIĄG DALSZY

Należy funkcjonowanie gospodarki uwarunkowane jest właściwie funkcjonowaniem i odpowiadającym potrzebom systemem zarządzania. Takim systemem zaczęliśmy tworzyć w Polsce, powołując w miejsce gromadzkich rad narodowych — urzędy gminne jako władzę wykonawczą i gminne rady narodowe jako władzę ustawodawczą i kontrolującą. Był to pierwszy etap reformy systemu zarządzania w Polsce, reformy administracji państwowej. Na tym etapie stworzono silną podstawę władzy państwowej — gminy.

Następnym etapem — konsekwencją powołania gmin i ustanowienia jednoosobowego kierownictwa w urzędach gminnych — było rozdzielenie władzy wykonawczej od ustawodawczej w powiatach, miastach i województwach przez powołanie urzędów powiatowych, miast i wojewódzkich kierowanych jednoosobowo przez naczelników, prezydentów i wojewodów.

Praktyka potwierdziła, że zarówno powołanie urzędów gminnych, jak następnie powiatowych, miejskich i wojewódzkich było koniecznością, gdyż przyczyniło się do sprawniejszego realizowania zadań społecznych i gospodarczych w warunkach przyspieszonego rozwoju kraju. Jed-

nocześnie praktyka pokazała również i to, że dotychczas funkcjonujący w kraju, a powołany w zupełnie innym okresie historycznym, trzostopniowy system administracyjny nie zdaje już życiowego egzaminu. Powołanie silnych gmin, stanowiących mikroregiony i dążących do samodzielnego rozwiązywania wszystkich problemów tego mikroregionu wyeliminowało powiat, jako ogniwo pośrednie, zarządzające do tej pory znacznym obszarem i spełniające na tym obszarze czynnik stymulujący jego rozwój. Powiat spełnił swoją historyczną rolę i w obliczu działania silnych gmin okazał się ogniwo administracyjnym zbędnym.

W referacie na XVIII Plenum KC PZPR premier Piotr Jaroszewicz podał kilka interesujących liczb. Przypomniał, że na 314 powiatów, jakie istnieją w Polsce, aż w 276 (co stanowi 85 procent) liczba gmin wynosi od 4 do 10. Te liczby pozwalają uzmysłowić sobie skalę paradoksu, kiedy to do obsługi jednej gminy w urzędzie powiatowym trudzi się aż 44 osób, a w niektórych urzędach jest ich znacznie więcej. Zrozumiałe, że w takiej sytuacji powiat gminie nie pomaga, a częstokroć przeszkadza, zatrzymując jej kompetencje w powiecie. Dalsze utrzymywanie powia-

tów w takiej sytuacji, byłoby już nie tyle bezcelowe, co szkodliwe, gdyż hamowałyby rozwój gmin, jako podstawy władzy administracyjnej w Polsce.

Jest jeszcze jeden wzgląd, na który w swoim referacie na XVII Plenum KC PZPR zwrócił uwagę sekretarz KC — Edward Babiuch.

„Nasze potrzeby kadrowe — powiedział E. Babiuch — we wszystkich dziedzinach życia są coraz większe i mamy wszelkie warunki, by zapewnić każdemu pracownikowi zatrudnienie zgodne z jego kwalifikacjami i możliwościami, a jednocześnie zgodne z żywymi potrzebami kraju”.

U urzędach powiatowych pracuje obecnie około 121 tys. osób. W znacznej większości są to ludzie doświadczeni, dobrze przygotowani do swego zawodu, posiadający wysokie kwalifikacje. Utrzymywanie ognia pośredniego między województwem a gminą, ognia, które zamiast koordynować, pobudzać inicjatywę, nadawać kierunek działaniom gmin, zajmuje się przekazywaniem instrukcji i zadań, zatrzymując u siebie część kompetencji gmin, wytrąca z ogólnonarodowej gospodarki pokątną ilość dobrze przygotowanych kadr. Doświadczenie i umiejętności wielu działaczy powiatowych powinny być wykorzystane bądź to w gminie, gdzie dokonuje się najistotniejszych dla całego kraju rozwiązań, jak też w miastach lub w innych działach gospodarki narodowej.

Gmina staje się podstawowym ogniwem władzy państwowej. Opiekować się nią będzie województwo. W nowym systemie dwustopniowej władzy administracyjnej, kraj podzieli się na 49 województw, w tym trzy województwa miejskie: stołeczne z Warszawy, Łodzi i Krakowa. W ten sposób powstaną jednostki administracyjne obejmujące swoim zasięgiem naturalne regiony gospodarcze. W przypadku Warszawy, Łodzi i Krakowa będą to jednostki obejmujące aglomeracje miejskie.

CIąg dalszy reformy, wprowadzanie w życie trzeciego etapu, jest konsekwencją w unowocześnianiu państwa, w stwarzaniu lepszych warunków dla rozwoju społeczno-gospodarczego kraju. Państwo reformuje się po to, aby móc umocnić dokonane przeobrażenia socjalistyczne, aby ułatwić dalsze. Nie jest to sprawa prosta. I dokonanie dalszego ciągu reformy, likwidacja powiatów i powołanie na ich miejsce 49 województw też nie będzie sprawą prostą. Wymagać będzie wielkiego zaangażowania całej partii, wszystkich członków i kandydatów, aby swoimi umiejętnościami służyli pomocą w toku przeprowadzania reformy, jak też, aby wyjaśniali i tłumaczyli innym jej sens i znaczenie.

Reformę państwa dokonuje się raz na kilkadziesiąt lat i dokonuje się tego na żywym, funkcjonującym organizmie, ale nie może ona wywołać żadnych zaburzeń w funkcjach naszej gospodarki, w realizacji określonych przez VI Zjazd PZPR i przez I Krajową Konferencję Partyjną zadań gospodarczo-społecznych. I w tym też powinna pomóc cała partia, wszyscy jej członkowie.

L. W.

ROZSTRZYGNIECIE KONKURSU NA SCENARIUSZ

Rozstrzygnięto konkurs zamknięty na oryginalne słuchowisko i scenariusz telewizyjny zorganizowany przez Łódzką Rozgłośnię Polskiego Radia, Łódzki Ośrodek Telewizyjny, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi oraz Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego dla członków ZLP.

Jury: WACŁAW BILIŃSKI (przewodniczący jury konkursu na słuchowisko), HENRYK BARDJEWSKI (kierownik Redakcji Słuchowisk — W-wa), WITOLD BILLIP (z-ca Red. Naczelnego Nacz. Red. Literackiej — W-wa), STEFAN KUBICKI (kierownik Red. Audycji Literackich Łódzkiej Rozgłośni PR), KAZIMIERZ LEWKOWSKI (przewodniczący jury konkursu na scenariusz TV, kierownik Red. Programów Teatralnych LOT), ALEKSANDER NIEMTAŁEK (z-ca Red. Naczelnego LOT), JADWIGA PILICHOWSKA (z-ca dyrektora Wydz. Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego w Łodzi), WŁODZIMIERZ POSPIECH (dyrektor Wydz. Kult. i Sztuki Urzędu m. Łodzi), BOŻENA FRANKOWSKA (sekretarz Nacz. Redakcji Progr. Teatralnych TVP) — przyznało w konkurencji scenariuszy telewizyjnych nagrodę w wysokości 10 tysięcy złotych za scenariusz pt.: „Jakos to nie tak” — Edwardowi Szustrowi (godło „Paulina”).

W konkurencji słuchowisk jury postanowiło przyznać: I nagrodę za słuchowisko pt.: „Ostatni pociąg, pierwszy pociąg” — autor — Marek Wawrzkiwicz (godło „Rondo”) — 15 tys. zł.

II nagrodę za słuchowisko pt.: „Kwartet” — autor Edward Szuster (godło „Chrzyszcz”) — 10 tys. zł.

Dwa równorzędne wyróżnienia dla słuchowisk: „Pełne narczy czyli nocne czuwanie” — autor Władysław Orłowski (godło „Morfeusz”) — 5 tys. zł.; „Zyciorys dla szerokiej publiczności” — autor Wiesław Jądzynski (godło „Jodła”) — 5 tys. zł.

RADIO



Fot. Włodzimierz Parys

Z TADEUSZEM MARKOWSKIM — AUTOREM I REŻYSEREM SLUCHOWISK RADIOWYCH — rozmawia P. SŁOWIKOWSKI

— Należy Pan do grona zasłużonych pracowników Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Jakie drogi życiowe przywiodły Pana do naszego miasta? Co charakteryzowało pracę rozgłośni w latach powojennych?

— Stałą współpracę z „Polskim Radiem” zacząłem w 1934 roku, ale mój debiut mikrofonowy odbył się w 1928 roku w Poznaniu, gdzie studiowałem polonistykę. Wystąpiłem wówczas jako jeden z trzech „młodych poetów”. Ponieważ impreza ta nie miała konsekwencji ani dla poezji, ani dla radia — nie warto byłoby jej wspominać, gdyby nie osoba prezentera, wybitnego radiowca, Bolesława Busiakiewicza. Już wtedy był on twórcą szeregu świetnych audycji, w tym dwóch cykli kontynuowanych po wojnie w Łódzkiej rozgłośni: magazynu ciekawostek kulturalnych pt. „Silva Rerum”, przemianowanego z czasem na „Calendarium kultury muzycznej” oraz „Zagadek muzycznych”. W 1934 roku spotkałem się z Bolesławem Busiakiewiczem w poznańskiej rozgłośni, potem w toruńskiej, i po wojnie — w Łódzkiej. A praca w ówczesnej rozgłośni? No cóż, mieliśmy pełne ręce roboty. Zasilaliśmy przecież prawie cały ogólnopolski program, zwłaszcza w dziedzinie słuchowisk.

— Zanim radio zaczęło wykorzystywać zapis magnetyczny, audycje nadawane były „na żywo”. Powodowało to wiele trudności, kłopotów już niemal anegdotycznych. Było trudniej, ale czy ciekawiej?

— Niejednokrotnie terminy słuchowisk kolidowały z zajęciami teatral-

nymi. Bywało, że aktorzy nie zdążyli rozcharakteryzować się po spektaklu. Miałem kiedyś w studio zespół wystrójonych Sarmatów z „Powrotu pastera”, którzy brali udział w słuchowisku o życiu Galileusza. Któregoś niedzieli w Teatrze Wojska Polskiego grano po południu i wieczorem „Kra-kowiaków i górali”. W przerwie między spektaklami miał przyjechać do studia Stanisław Lapiński. Na parę minut przed rozpoczęciem słuchowiska otrzymałem telefon. Dzwonił zdyszany Lapa: „Słuchaj, ojciec, będziesz musiał sam zagrać tę rolę. Ja nie mogę przybyć”. Okazało się, że w polowie drogi między teatrem a rozgłośnią samochód, wiozący aktora, zderzył się z innym pojazdem. Lapa, w stroju organisty Miechodmucha, odbył bieg przełajowy do teatru. Cud to prawdziwy, że dotarł do mety w dobrej formie i doskonałym czasie, by „Cud mniemany” mógł zaistnieć. A w słuchowisku, jak radził nieodwołany Lapa, zagrałem ja. Era magnetofonowa, zwłaszcza w jej stadium początkowym, zrodziła nowe kłopoty. Wychuchane słuchowisko, świetnie nagrane na taśmę, źle potem przewinięta została puszczone na antenę „do tyłu”. Wtedy to zdarzył się historyczny wypadek pogryzienia zdrowego psa przez wściekłego człowieka. Innym razem koncert wzbogacony wstawkami słownymi, poszedł w dość dziwny kierunku — część druga, trzecia i pierwsza. Takie przypadki zrodziły we mnie wprost obsesyjne obawy: czy we właściwym pudełku jest właściwa taśma, właściwie opisana, itp.

— Jakim wymaganiom winien

PRACA, KTÓRĄ SIĘ LUBI...

rozmowa z TADEUSZEM MARKOWSKIM

sprostać idealny scenariusz słuchowiska? Jaki winien być aktor radiowy, czy ten w słuchowisku najbardziej przydatny?

— Scenariusz powinien spełniać te wymagania artystyczne, jakie się stawia wszystkim, nie tylko radiowym, utworom dramatycznym, plus minimalna ilość ról pierwszoplanowych. To ważna zasada. A jeżeli chodzi o aktora, to przydatny jest taki, kto kreując postać, może zapamiętać, że ma prywatne imię i nazwisko. No i żeby nie powlekał kolejnych ról. Aktorzy bronią się oburzeni: „Przećleć to jestem ja, powtarzam sobie, nie będę nagle kimś innym, to jest moje emplot!” Racja, ale tu przecież chodzi o szerokość skali tego emplot, bogactwo środków, o to, aby się aktor szybko nie osłuchał i nie opatrzył — bo to są prawdy znane nie tylko w teatrze radiowym.

— Słuchowisko jest strukturą słowno-dźwiękowo-muzyczną. Jaka rolę grają te dwa ostatnie elementy w stosunku do słowa?

— Wszystko zależy od scenariusza. Bywają słuchowiska oparte głównie na dialogu, o klasycznej jednostki miejsca, które nie musi być określone efektami dźwiękowymi — i czasu, którego upływ (odbębnianego kiedyś gongiem) nie potrzeba zaznaczać przerwami muzycznymi. Nie będę się rozwodził na temat większości innych tekstów, bo mi śpieszno do przykładu z własnej praktyki, tym razem autorskiej, przykładu integracji wszystkich tych elementów Rzecz wydarzyła się w Toruniu, w 1938 roku. Już wcześniej próbowałem przejść z formuły „słowo plus muzyka” do typu podkładu muzycznego, podbudowującego nastrój czy dramatyzm akcji — jak to się dzieje na przykład w filmie. Ale dopiero w Toruniu, gdzie miałem do dyspozycji coś, co przypominało konsolę, a zwłaszcza dostęp do bogatej płytki (zdołałem nawet miano „psujki płytówki” — ach, te nerrrry!), mogłem

pokusić się o zrobienie słuchowiska eksperymentalnego pt. „Niedokończona symfonia”. Akcja działa się w uchu dyrygenta. Odrzuciłem tradycyjny schemat narracji i całość oparłem na wolnych skojarzeniach. A więc, efekt stacji kolejowej z płyty, w studio konduktor: „Proszę drzwi zamknąć”, szept: „Drzwi, drzwi, drzwi...”. Dyrygent jadący pociągiem na gościnnie występy: „Drzwi... czy ja zamknąłem w domu drzwi?”. Pociąg rusza. Z jednego talerza adapteru idzie stukot kół, z drugiego dobrany fragment „Pietruszki” Strawińskiego, a ze studia pomruk aktorów: „Drzwi, zamknijcie, nie zamknijcie”. Pogwarki pasażerów o kradzieżach wywołują majaki drzemającego dyrygenta. Nie, niech się pan nie obawia, nie będę recytował całego słuchowiska. Dziwi się pan, że do dziś znam je tak dobrze. Otóż miało pójść ono w programie ogólnopolskim w grudniu 1939 roku. Nie muszę wyjaśniać, dlaczego nie poszło. Ale tekst zachowałem i wielokrotnie recytowałem w czasie okupacji. Po wojnie zrekonstruowałem słuchowisko w łódzkiej rozgłośni, skąd poszło z 6-letnim opóźnieniem w programie ogólnopolskim.

— Których w wielu wyreżyserowanych słuchowisk uważa Pan za najtrudniejsze, najbardziej udane i dlaczego?

— Zaczęć od udanych, bo już na to pytanie częściowo odpowiedziałem. W roku 1947 zradiofonizowałem „Zmartwychwstanie” Lwa Tołstoja w ten sposób, że na kanwie procesu Masłowej, który odbywał się w jednym studio, przewijali się scenki retrospektywne z dziejów Ktali oraz księcia Niechludowa, moralnego sprawcy dramatu. Audycja szła „na żywo”, więc Irena Horecka — Katia biegła z jednego studia do drugiego gdzie przebywał Jan Kurmakowicz — Niechludow. Ten retrospektywny chwyt powtórzyłem w „Meksykaniinie” Londona, w opracowaniu Stanisława Stampfla. Dyskretnie zdeformowane

sceny z przeszłości bohatera słuchowiska włączyć w licznych nockadawnach boksera i w przerwach między rundami. Możliwość nagrania osobno meczu i osobno scenek retrospektywnych bardzo mi się pracę ułatwiła, pozwoliła wydobyc to, co chciałem. Warto też wspomnieć słuchowisko pt. „Fotel na autostradzie”, za które w 1959 roku otrzymaliśmy wraz z autorem, Czesławem Chruszczewskim, Nagrodę Prezesa Komitetu do Spraw Radia i Telewizji. Co się zaś tyczy — jak to pan nazwał — słuchowisk najtrudniejszych, to najczęściej tyrałem wtedy, kiedy popełniłem błąd w obsadzie. Zasadniczo takiego błędu nie da się wyeliminować. Ach nie, przepraszam, kiedyś mi się powiodło. Otóż powierzyłem jedną z głównych ról oraz nie znaczącą rolę młodemu aktorowi. Potem musiałem go przekonąć, że jest tak świetny „w ogonie”, i tak ta rola zapadła w ucho, że nie może równocześnie kreować kogoś innego. Zadowolony młody człowiek uwierzył, dając mi do zrozumienia machnięciem ręki, że to nieważne. W ten sposób on i główny księgowy byli usatysfakcjonowani. Ja natomiast musiałem wymontować tego pomyłkowego aktora, dograć i wmontować zdanie po zdaniu aktora z prawdziwego zdarzenia. Com się napracował, tom się napracował. Udało się. Audycja była ciekawa, więc nie byłam zmeżony. Bo najbardziej męczą rzeczy, których nie robi się z pasji, ale „w ramach obowiązku”. W zmęczeniu marzy się wtedy o tzw. samograjach, kiedy to reżyser nie musi ingerować w czasie nagrania. Ale z tymi samograjami to tak, jak ze szczęśliwymi z pijackiej anegdoty — co się jeszcze nie urodziło. „Albo to dużo takich jest? Może, jeden, może dwóch”.

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), JERZY WILMAŃSKI (drugi sekretarz).

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. LEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD STAJNERT.

RADIO - 50 LAT

1 LUTY 1935 R. W fabryce Polskiego Towarzystwa Radiotechnicznego przy ul. Narbutta nr 25 w Warszawie uruchomiono pierwszą próbną polską radiostację o mocy 0,5 kW, nadającą początkowo 1 godzinę, a następnie 2 godziny programu własnego.

18 SIERPIEŃ 1935 R. Minister Przemysłu i Handlu podpisuje akt koncesyjny, nadający Spółce z ogr. odpow. „Polskie Radio” wyłączne prawo do eksploatacji radiotelefonii w Polsce na przeciąg 20 lat. W gmachu przy ul. Kredytowej nr 1 w Warszawie „Polskie Radio” urządza studia, redakcję i amplifikatornię. Radiostacja przy ul. Narbutta nr 25 otrzymuje nadajnik o mocy 1,5 kW. Pod koniec roku Warszawa nadaje już całodzienny program.

2 LUTY 1936 R. Przy ul. Inżynierskiej nr 14 w Łodzi rozpoczyna pracę radiostacja przekaznikowa o mocy 1,7 kW (jako siódma z kolei w kraju), retransmitująca program ogólnopolski.

13 LUTY 1931 R. W Raszynie odbywa się uroczyste otwarcie radiostacji o mocy 120 kW, wówczas najsilniejszej w Europie i na świecie. Z sali Warszawskiego Filharmonii transmitowany jest koncert zapowiadany w kilku językach.

1 MAJ 1931 R. Zespół pracowników „Polskiego Radia” w Łodzi podejmuje decyzję o nadawaniu programów własnych. W eterze rozbrzmiewa pierwsza audycja lokalna.

10 KWIECIEŃ 1932 R. Na mocy uchwalonego statutu powstaje przy rozgłośni w Łodzi, z inicjatywy red. Jana Piotrowskiego, „Łódzka Rodzina Radiowa”, organizująca opiekę nad dziećmi ociemniałymi i sierotami. W przeciąg lat później wybudowany zostanie z datków robotników i młodzieży pierwszy w województwie łódzkim dom dziecka „Łódzkiej Rodziny Radiowej” przy ul. Przykole. Zamieszka w nim około 100 dzieci niewidomych.

2 LUTY 1933 R. Łódź nadaje pierwszą audycję własną w programie ogólnopolskim.

15 KWIECIEŃ 1937 R. Rozpoczyna się budowa gmachu „Polskiego Radia” przy ul. Narutowicza 130. Obok budynku wzniesiony jest maszt nadawczy wysokości 52 m.

2 MARZEC 1939 R. Przekazano do eksploatacji nowoczesnie wyposażoną Rozgłośnię Łódzką „Polskiego Radia”. Tymczasowa rozgłośnia, mieszcząca się od 1936 r. przy ul. Radwańskiej nr 70 oraz radiostacja przy ul. Inżynierskiej nr 14 ulegają likwidacji. Rozbrzmiewa na raz pierwszy, używany do dziś, radiowy sygnał Łodzi, nagrodzony na specjalnym konkursie, a napisany przez inż. Jarosława Bojduka.

6 WRZESIEŃ 1939 R. Ostatnia audycja lokalna Rozgłośni Łódzka milknie na 6 lat hitlerowskiej okupacji.

19 STYCZEŃ 1945 R. Wyołajają się z Łodzi hitlerowcy zaminowują budynek Radiostacji przy ul. Narutowicza nr 130. Przez wszystkie lata okupacji wykorzystywali oni stację nadawczą do celów wojennych. Na 2 godziny przed wkroczeniem do miasta jednostek Armii Czerwonej wysadzają w powietrze antenę nadawczą, amplifikatornię, halę maszyn i pomp.

21 STYCZEŃ 1945 R. W gmachu przy al. Kościuszki nr 40 w Łodzi powstaje prowizoryczna amplifikatornia, zmontowana naprędce przez techników „Polskiego Radia”. Już w tym samym dniu przez głośniki zainstalowane na ulicy płynie z prowizorycznego studia komunikaty z frontu.

25 LUTY 1945 R. Na gruzach rozgłośni przy ul. Narutowicza nr 130 zbiera się zespół ekspertów radzieckich i pracowników technicznych „Polskiego Radia”. Zapada decyzja o odbudowie radiostacji i rozgłośni.

1 MAJ 1945 R. Odbywa się inauguracja nowego studia radiowego w gmachu przy al. Kościuszki nr 40. W uroczystym koncercie wystąpił po raz pierwszy zespół mandolinistów Edwarda Ciuksy, zespół próbny audycji Rozgłośni Łódzkiej na fali średniej, za pośrednictwem urządzeń emisyjnych i anteny nadawczej, zainstalowanych przy ul. Narutowicza nr 130.

21 PAŹDZIERNIKA 1945 R. Przy ul. Narutowicza nr 130 odbyło się uroczyste otwarcie rozgłośni „Polskiego Radia” i radiostacji odbudowanej przez zespół techniczny. 15 najbardziej zasłużonych pracowników otrzymuje Złote, Srebrne i Brązowe Krzyże zasługi. Inżynierowie: Wacław Gawroński (dyr. techniczny), Bernard Klimaszewski (kier. radiostacji) i Ryszard Rejman oraz technicy: Marian Jarosiński, Tadeusz Kosiński, Jan Kowalczyk, Witold Kazimierzczak, Józef Niecki, Wacław Pluciński, Bolesław Raczynski, Franciszek Rajch, Zygmunt Warmuziński, Jan Wójcik, Henryk Trojanczyk, Tadeusz Trojanczyk. O godz. 11 min. 50 dyżurny spiker — Jadwiga Cedrowska zapowiada transmisję z otwarcia rozgłośni. Prowadzącym transmisję jest Igor Sikirycki. O godz. 13 min. 30 prezentowany jest montaż słowno-muzyczny pt.: „Dwie wizyty u Szopena” w opracowaniu radowym Wincenego Jędrkiewicza ze słowem wstępem Krystyny Gogolewskiej. W programie lokalnym nadano m. in. koncert muzyki popularnej z udziałem Jana Głównego — śpiew, Stanisława Matysa — akordeon, kwintetu mandolinistów Edwarda Ciuksy oraz chóru Mieszanaego Zw. Zaw. Prac. Spółdzielczych pod dyr. Karola Prosnaka.

22 PAŹDZIERNIK 1945 R. Sygnałem, który „narodził się” w 1939 roku na kilka miesięcy przed wybuchem II wojny światowej Łódź rozpoczęła regularne nadawanie programów lokalnych i ogólnopolskich. Prowadzą je spikerzy: Jadwiga Cedrowska, Zbigniew Lutogawski, Igor Sikirycki i Zdzisław Suwalski.

11 KWIECIEŃ 1946 R. Łódź staje się posiadaczem prowizorycznego, wozu transmisyjnego: w sanitarce marki Dodge pracownicy techniczni instalują urządzenia do nagrania wymontowane z rozbitego niemieckiego czołgu.

28 MAJ 1947 R. Sprawozdawca Łódzkiej rozgłośni, Ludwik Szumowski, kierownik wydziału transmisyjnego, przedstawia z Łodzi setną już z kolei transmisję w programie ogólnopolskim.

1 PAŹDZIERNIK 1949 R. Do wyposażenia technicznego rozgłośni przyby-

wa pierwszy prawdziwy samochód transmisyjny marki Renault. Drugi wóz transmisyjny otrzyma radio łódzkie dopiero w 1952 roku.

16 PAŹDZIERNIK 1949 R. W Teatrze Popularnym przy ul. Ogrodowej nr 18 odbywa się pierwszy radiowy koncert dla zalogi Zakładów Przemysłu Bawelnianego im. J. Marchlewskiego. Wykonawcami są: orkiestra pod dyr. Aleksandra Tarskiego, skrzypaczka Bronisława Rotształtowa, śpiewak Jan Ciżyński i aktor Marian Dąbrowski. Zapowiada Marian Jeżewski.

1 STYCZEŃ 1950 R. Działająca od kilku miesięcy przy rozgłośni orkiestra pod dyr. Aleksandra Tarskiego staje się etatową Orkiestrą Rozrywkową Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia”. W 1952 roku kierownictwo orkiestry obejmuje Henryk Debieh.

1 WRZESIEŃ 1952 R. Zespół programowy Rozgłośni Łódzkiej przyjmuje patronat nad uruchamianą w Kielcach ekspozytura „Polskiego Radia”. Współpraca trwa do 1 stycznia 1958 roku, kiedy to w Kielcach powstaje samodzielna rozgłośnia.

dia i Telewizji ustanawia najwyższe wyróżnienie za twórczość radiową i telewizyjną — doroczne nagrody PR i TV. Wśród laureatów za rok 1957 znajdują się Marian Jeżewski i Józef Mozga.

3 MAJ 1959 R. Tadeusz Markowski zostaje wyróżniony doroczną nagrodą PR i TV za reżyserię słuchowiska Czesława Chruszczewskiego pt. „Fotel na autostradzie”.

19 STYCZEŃ 1961 R. Nagrodę miasta Łodzi za upowszechnianie kultury przyznano seniorowi dziennikarzy łódzkich, Bolesławowi Busiakiewiczowi, który obchodzi pięćdziesięciolecie pracy publicystycznej i czterdziestolecie pracy w „Polskim Radu”.

29 KWIECIEŃ 1961 R. Na fali średniej 219,6 m rozpoczyna pracę w Tuszyńskim koło Łodzi druga z kolei w naszym regionie radiostacja o łącznej mocy 60 kW.

3 MAJ 1962 R. Doroczne nagrody PR i TV za twórczość radiową otrzymują: Irena Fenigen, Tadeusz Dobrzyński, Marian Jeżewski, Tadeusz Szewera, Kazimierz Zygmund, Irena Stankiewicz.

pozytor Czesław Majewski, otrzymuje doroczną nagrodę PR i TV.

22-25 SIERPIEŃ 1967 R. Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyr. Henryka Debieha towarzyszy solistom na Międzynarodowym Festiwalu Piosenki w Sopocie.

12 PAŹDZIERNIK 1967 R. Tadeusz Szewera i Marek Wawrzekiewicz zostają wyróżnieni przez Ministra Obrony Narodowej nagrodą zespołową (III stopnia) za widowisko „Ballada partyzancka”.

13 PAŹDZIERNIK — 10 LISTOPAD 1967 R. Zespół „Wesołego Autobusu” Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia odbywa tournée po Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej i Kanadzie.

1 STYCZEŃ 1968 R. W Zyrardowie woj. łódzkiego uruchomiona zostaje radiostacja przekaznikowa. Próbną pracą nowej radiostacji trwa do końca marca.

19 STYCZEŃ 1968 R. Tadeusz Szewera i Marek Wawrzekiewicz zostają laureatami zespołowej nagrody miasta Łodzi.

1 KWIECIEŃ 1968 R. Rozpoczyna się stałe transmitowanie programu lokalnego Rozgłośni Łódzkiej i programu ogólnopolskiego na falach UKF.

3 MAJ 1968 R. Doroczne nagrody PR i TV otrzymują: Henryk Debieh i Jan Babiński.

15 LIPIEC 1968 R. Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyr. Henryka Debieha uczestniczy w Festiwalu Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu.

12 PAŹDZIERNIK 1968 R. Wacław Biłski otrzymuje nagrodę Ministra Obrony Narodowej za książkę „Nagrody i odznaczenia”.

28 KWIECIEŃ 1969 R. W Państwowym Teatrze Nowym w Łodzi odbywa się jubileuszowe nagranie setnej ogólnopolskiej audycji estradowej „Program z Dywanikiem”.

25 MARZEC 1969 R. Radiostacja, pracująca na fali 202,2 m przenosi się z budynku przy ul. Narutowicza nr 130 do nowego obiektu na Siólkach. Maszt wysokości 52 m zdobowią rozgłośnie przez 14 lat, zostaje zdemontowany.

8 PAŹDZIERNIK — 7 LISTOPAD 1969 R. Zespół estradowy „Wesołego Autobusu” występuje po raz drugi w USA i Kanadzie.

12 STYCZNIA 1970 R. Rozpoczyna się generalna przebudowa gmachu Rozgłośni przy ul. Narutowicza nr 130 i modernizacja urządzeń elektroakustycznych oraz studiów spikerowskich, wielkiego studia muzycznego, teatralnego i studia publicystycznego.

17 LIPIEC 1970 R. Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Sandomerzu nadaje rozgłośni „Polskiego Radia” w Łodzi Medal „Zasłużonego dla Miasta Sandomerza”.

20 LIPIEC 1970 R. Nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej w Łodzi za upowszechnienie kultury i za działalność społeczną otrzymuje Arnold Borowik.

19-23 PAŹDZIERNIK 1970 R. Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi pod dyr. Henryka Debieha przebywa na tournée w Związku Radzieckim.

25 PAŹDZIERNIK 1970 R. „Program z Dywanikiem” gości w Trzyczęciu w Czechosłowacji.

20 KWIECIEŃ 1971 R. Rada Narodowa m. Łodzi nadaje Zespołowi Rozgłośni Łódzkiej „Polskiego Radia” Honorową Odznakę m. Łodzi.

1 STYCZEŃ 1973 R. W radiostacji Zyrardów rozpoczyna się próba nadajnika UKF.

1 KWIECIEŃ 1973 R. Radiostacja w Zyrardów rozpoczyna stałe transmitowanie programu III na fali UKF.

26 MAJ 1973 R. W ramach Opolskiej Wiosny Artystycznej odbywa się w Opolu III Ogólnopolski Przegląd Słuchowisk Rozgłośni Regionalnych. I nagrodę za kreację akustyczną otrzymuje Bogusław Sochnacki z Teatru Nowego, wykonawcą głównej roli w słuchowisku Leona Gomolickiego pt. „Terapia przestępna”. III nagroda za reżyserię przypada Romanowi Mater.

29 MAJ 1973 R. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Olsztynie nadaje zespołowi artystycznemu „Wesołego Autobusu” z Rozgłośni Łódzkiej PR Złotą Odznakę Honorową „Zasłużonemu dla Warmii i Mazur”.

3 LIPIEC 1973 R. Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi z okazji jubileuszowego 150 „Programu z Dywanikiem” nadaje jego twórcom, wykonawcom i realizatorom pamiątkowy „Medal 550-lecia m. Łodzi”.

10 LIPIEC 1973 R. Odbywa się odbiór i przekazanie do użytku przebudowanej i zmodernizowanej Rozgłośni przy ul. Narutowicza 130.

18 LISTOPAD 1973 R. W czasie jubileuszowego koncertu „Wesołego Autobusu”, który odbywa się w Recznie z okazji 15-letniej nieprzerwanej działalności programowej, Prezydium Rady Narodowej Wojewódzkiej w Łodzi nadaje zespołowi Honorową Odznakę Województwa Łódzkiego.

26 CZERWIEC 1974 R. Na Ogólnopolskim Przeglądzie Słuchowisk Rozgłośni Regionalnych w Olsztynie (Frombork) Rozgłośnia Łódzka uzyskuje II nagrodę za słuchowisko „Pojednanie” według powieści Wiesława Jażdżyńskiego, w adaptacji Stefana Kubickiego. Za reżyserię tego słuchowiska Romana Mater otrzymuje III nagrodę.

13 LIPIEC 1974 R. Za osiągnięcia artystyczne i stałą współpracę w Festiwalach Piosenki Żołnierskiej w Kolobrzegu Jury Festiwalu postanawia wyróżnić Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi „Złotym Pierścieniem”.

16 LIPIEC 1974 R. Orkiestra Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi otrzymuje, nadany jej przez Prezydium Rady Narodowej w Kolobrzegu, Pamiątkowy Medal „Za Zasługi dla Kolobrzegu”.

21 STYCZNIA 1975 R. Jubileusz 30 lat pracy Rozgłośni Łódzkiej.

KIEDY NAJGORSZE JEST MILCZENIE



ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI — sprawozdawca sportowy, reporter radiowy

Łódzka koszykarka męska przez dobrych kilka lat przechodziła wyraźny regres. Po okresie zamierczej świetności nie mogła awansować do grona najlepszych, była po prostu słaba. I właśnie wtedy powstała znakomita okazja do zaatakowania marazmu w łódzkiej koszykówce, ale atak nastąpił w czasie, gdy kryzys został przewidywany.

Tak mówią ci, którzy zaprosili red. Łukasza Jedlewskiego, ewangelistę polskiej koszykówki, w dniu jego imienin, do Łodzi. Organizatorzy spotkania wręczając wiązanek kwiatów nie kryli, że mają do cenionego dziennikarza, a zarazem wiceprezesa PZKosz, pretensje i żal za artykuły opublikowane na łamach tygodnika „Sportowiec”. Szczególne pretensje miano za artykuł pt. „Przepraszam że żyję”, traktujący o koszykarkach LKS, ich awansie do pierwszej ligi i o atmosferze jaka temu towarzyszyła. Oburzeni, wręcz obrażeni byli działacze KS „Spolem”, za artykuł, który ukazał się 18 marca w rubryce: „Elementy zacołowania”, pod demaskującym tytułem „Złapani za rękę”.

Mnie interesuje najbardziej ten ostatni artykuł, jako że sprawa jest drażliwa i dotyka zjawiska, które występuje niestety w naszym życiu.

Łukasz Jedlewski pisze: „Wystawiciele łódzkiego klubu działali od kilku tygodni. Nie oszczędzając na przejazdach i hotelach podążali tropem najgroźniejszego rywala. Miejsce w ekstraklasie jedno. Kandydatów dwóch. Kiedy boisko dawało coraz mniejsze szanse rozstrzygnięcia rywalizacji po myśli „Spolem”, sięgnięto do innych metod. Pieniądze! One miały pogryźć konkurentów, zapewniając świetlaną przyszłość właścicielom zasobnej kasy. Nie twierdząc, że operacja została podjęta z zgodą zarządu klubu, wątpię jednak, aby znalazł się nagłe prywatny mecenas, szastający dziesiątkami tysięcy złotych. Udział działaczy koszykówki nie ulega natomiast wątpliwości”.

Pod artykułem zdjęcia łapowników.

Dwaj panowie — pomówieni o próbie przekupstwa arbitrow, by sędziowali na rzecz „Spolem” w spotkaniach decydujących o awansie, a rozgrywanych między AZS AWF i „Baldonem” oraz o próbie przekupstwa zawodników i trenera drużyny warszawskiej za „zgrabienie” punktów w spotkaniu z AZS — Kraków — do winy się nie przyznają i nie poczuwają, dla temu wyraz w złożonych na piśmie oświadczeniach.

Natychmiast po ukazaniu się artykułu w „Sportowcu” Wojewódzka Federacja Sportu powołała komisję dyscyplinarną. Władze partyjne miasta również były zainteresowane w szybkim i dogłębnym wyjaśnieniu sprawy. Zbyt długo sport w Łodzi służył swoimi zawodnikami innym ośrodkom, a działo się to również w koszykówce, przy milczącej aprobachie PZKosz. Łódzcy działacze przez lata domagali się sprawiedliwości. Jeśli więc teraz nie wyjaśni tej sprawy, poniosą kolejną porażkę i znów najlepszy sportowiec Łodzi będą „powoływani” do innych miast. Jeśli ktoś chce walczyć z przekupstwem, sam musi mieć czyste ręce. Dlatego właśnie powołano Komisję, która... nie mogła rozpocząć działalności.

Stwierdzono na początku, że wszystkie dokumenty są w Warszawie, ale zanim je red. Łukasz Jedlewski przywiózł do Łodzi, minął ponad miesiąc. 4 kwietnia 1975 roku przedstawiciel Wojewódzkiej Federacji Sportu — Marian Hoffman — był w PZKosz, by otrzymać obowiązujące łódzki klub materiały, ale ich nie otrzymał. 11 kwietnia br. do prezesa Polskiego Związku Koszykówki, Andrzeja Jeża, wysłał ponaglące pismo prezes WFS w Łodzi — Wojciech Skupieński. Cisza. A opinia publiczna czeka. W takiej sytuacji najgorsze jest milczenie.

Łukaszowi Jedlewskiemu dostarczono argumentów. Łukasz Jedlewski napisał, uderzył. Po nazwisku, nie bojąc się procesu o zniesławienie. Pomówieni wszystkiemu zaprzeczają. Gdzie są świadkowie? Niestety takie sprawy zatawiają się bez świadków. Komu więc wierzyć? Czy temu, kto napisał? Czy temu, kto zaprzecza?

Tysiące różnych pytań cisnie się do głowy. Ale trzeba czekać, aż zbada się sprawę i wynik poda do wiadomości.

A winnych trzeba ukarać.

Opracował: TADEUSZ SZEWERA

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

50 LAT

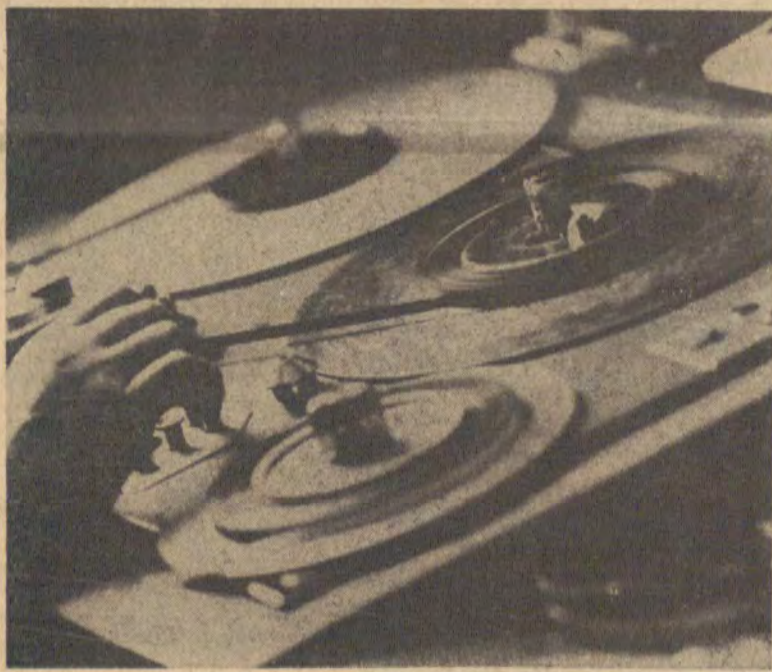


Foto. W. Parys

31 STYCZEŃ 1953 R. W Zakładach Przemysłu Bawelnianego im. St. Duboisa odbywa się koncert pn. „Przy sobocie po robocie” z udziałem chóru i orkiestry Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia” pod dyr. Henryka Debieha. Konfektantką prowadzi Marian Jeżewski.

22 LIPIEC 1953 R. Z okazji odbudowania Rynku Starego Miasta odbywa się w Warszawie galowy koncert z udziałem orkiestry Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia”, po którym zespół wyjeżdża na Światowy Festiwal Młodzieży do Rumunii.

7 PAŹDZIERNIK 1953 R. W czwartą rocznicę powstania Niemieckiej Republiki Demokratycznej Orkiestra Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia” pod dyr. Henryka Debieha koncertuje we Frankfurcie nad Odrą.

14 PAŹDZIERNIKA 1957 R. Z okazji otwarcia wystawy polskiej w Brnie (CSRS) Redakcja Estradowa Łódzkiej Rozgłośni „Polskiego Radia” prezentuje w Teatrze im. Fucika dwa koncerty dla mieszkańców stolicy Moraw.

3 MAJ 1958 R. Komitet do Spraw Ra-

30 WRZESIEŃ 1964 R. Nagrodę Wojewódzkiej Rady Narodowej za upowszechnianie kultury, twórczości ludowej i etnografii wyróżniony zostaje Józef Mozga.

3 MAJ 1966 R. Doroczna nagroda Komitetu do Spraw Radia i Telewizji za całokształt twórczości muzycznej otrzymuje Bolesław Busiakiewicz.

23-26 CZERWIEC 1966 R. Orkiestra Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia pod dyr. Henryka Debieha uczestniczy w Festiwalu Piosenki Radzieckiej w Zielonej Górze.

24 PAŹDZIERNIK 1966 R. We wsi Reczno w woj. łódzkim odbywa się setne jubileuszowe nagranie ogólnopolskiej audycji estradowej, opracowywanej w Rozgłośni Łódzkiej: „Wesoły Autobus”.

14-18 KWIECIEŃ 1967 R. Orkiestra Mandolinistów Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia pod dyr. Edwarda Ciuksy koncertuje w Budziszynie (NRD).

3 MAJ 1967 R. Pianista Orkiestry Polskiego Radia i Telewizji w Łodzi, kom-

SPOJRZENIA I REFLEKSJE



URSZULA MIKOŁAJCZYK — kierownik Redakcji Informacji, publicysta radiowy.

Oldaski. Brzmiały prawie jednakowo. I te dla odznaczonych i te po przecięciu wziętych, i te kwitujące czyjeś wystąpienie. Ostatnich mamy okazję słuchać najczęściej, a więc można by wysnuć stąd wniosek, że jesteśmy narodem mówców, czy może lepiej — krasomówców. I że mamy sobie bardzo dużo do powiedzenia...

Dosyć znamienny jest fakt, iż na niewielkiej nawet naradzie ogranicza się już z góry wystąpienia dyskutantów. Mówcom trzeba czas ograniczyć, bo oni sami tego na ogół nie potrafią. Przy czym powszechna praktyka wykazuje, że czas wystąpienia w dyskusji ustala się nie na podstawie zakresu tematu, a na podstawie zaplanowanych z góry rozmiarów konferencji czy też innego typu zebrania.

Zresztą — bez względu na to, ile się przeznacza minut na tak zwany głos w dyskusji, prawie zawsze jest tych minut za dużo. Dla słuchaczy, oczywiście, bo mówcy rzadko się w nich mieszczą.

Srednich rozmiarów konferencje pozwalają na ogół mówić zebranyemu solo — po 10 minut. Dużo?

Dziesięć minut. Być może ci, którzy ustalają czas wystąpień, nie zdają sobie sprawy co to znaczy. A znaczy to mniej więcej 6 stron maszynopisu dziennikarskiego na kartce formatu A-4. Sześć stron nie tak łatwo sensownie zapisać, 10 minut — jak bogate doświadczenie uczy — bardzo łatwo zagadać. Powiedźmy, że mówców jest 15. 15 razy 6 równa się 90. 90 stron tekstu. Można by na nim zanotować niemalże program na 5-latkę...

Jakże często więcej niż połowa z tych 15 mówców zaczyna swoje wystąpienia mniej więcej tak: „Chciałbym powiedzieć, że w pełni zgadzam się z moim przedmówcą, który powiedział, że...” I potem następuje opowiadanie tego samego, co powiedział przedmówca, tyle że innymi słowami.

Niekoniecznie lepszymi. A przedmówca i wszyscy pozostali słuchają trzech pierwszych zdań, po czym z całym spokojem, że nic nie stracą — pograżają się w myślach na oderwane tematy. Czasem wystarczy, że prowadzący imprezę zaledwie zapowie dyskutanta, a wszyscy, usłyszawszy nazwisko, wiedzą już na pamięć co powie, w jakim tonie i stylu. Na mównicę wchodzi bowiem dyskutant z gatunku tych, co to zawsze muszą zabrać głos, a zabierają innym czas. W „nagrodę” dostaną oklaski.

I ostatecznie to wszystko jest nie tak znów istotne w przypadku imprez okolicznościowych, kiedy chcemy tylko coś uświetnić, przypomnieć, popatrzeć na siebie w grupie, bo normalnie jesteśmy zalatani i nie mamy czasu na odświeżone spotkania. Najwyżej jest wiede nudno, nie szkody niewiele. Gorzej, gdy zechce nam się zorganizować naradę tzw. roboczą, podczas której chcielibyśmy omówić jasno ważny problem, a tymczasem skutecznie go rozmazujemy, rozmiędlamy i wcale nie chodzi o to, żeby każdy, kto chce zabrać głos, był zaraz talentem krasomówczym, ale o to, żeby miał nam po prostu coś do powiedzenia.

URSZULA MIKOŁAJCZYK

RADIOWI AUTORZY

Stojący na pokładzie mężczyzna odłożył lornetkę i przetrzął oczy.

— Oni tam jeszcze są — powiedział.

„BATORY” dawno już wykreślił rufą i minął falochorny. Niebiała szybkości. Ale tam, na dalekim horyzoncie widać było poprzez sfaldowane morze kontury Dworca Morskiego w Gdyni, który odbijał się jaśniejszą plamą od linii nabrzeża. Gdy po raz pierwszy zawył syreny dzieciaki na przystani zastygły w bezruchu.

Kobiety przestały wymachiwać bukietami kwiatów. Jeszcze raz rozległ się przeciągły huk syreny i wtedy na pokładzie też zaległa grobowa cisza. Orkiestra grała hymn państwowy. Wielu na pokładzie nawet nie próbowało lez powstrzymać.

Mężczyzna przeniósł wzrok na młodą kobietę, która kotłując biodrami, przechodziła wolno pomostem. Trzymała za rączkę śliczną dziewczynkę o blond włosach.

Przy obiedzie wiedzieliśmy o sobie już sporo. Kobiela prowadził byznes w Buffalo, Marta wybrała się do Rotterdamu, ja wiadomo, jak to dziennikarz, snuję się, gdzie mnie wiatry zapędzą.

— Tylko do Holandii? Byłem pewny, że jedzie pani do rodziny w Kanadzie — Kobiela zaczął wpatrywać się w dziewczynkę.

Marta spojrzała na Kobielę z zaciekawieniem. Na moment jej oczy rozblęły, po czym roześmiała się patrząc mu w twarz. Przyjrzałem się jej uważnie. Niebieskie żywe oczy, mięsiste usta i wspaniała cera o odcieniu dojrzewającej brzoskwini. Bujnie rozrosnięta, pewna siebie i zdrowa niewiasta. Kobiela wciąż spoglądał na dziewczynkę.

— Nie przepadam za tańcem, ale może by warto było dziś posuchać w tej dużej sali evening-koncertu?

Marta roześmiała się. Wieczorem podszedł do mnie na rufie starszy już człowiek w czarnym kożuchu. Miał smutną twarz i krótko na jeża ostrzyżone włosy.

— Polak? — zapytał.

Skłamałem głową.

— Tak przypuszczałem, Nowaczyk jestem. Jak pan myśli, czy to dobry statek?

— Oczywiście, to solidna robota holenderskich stoczní, nowoczesny, idzie na turbinach, prawie wcale nie odczuwa się wibracji. Zawsze ma te szesnaście tysięcy ton wyporności.

— Nie o to mi chodzi. Czy to statek naprawdę bezpieczny? Czytał pan przecież co się stało kiedyś z „Titanikiem”. Poszedł na dno a był to okręt trzy razy większy od „Batorego”.

Później spotkałem Nowaczyka w barze urzędowym na stylową karczmę staropolską. Siedział z młodą brunetką na górnym zdyżu i saczył z potężnego kielicha „Canada-dry Champagne”. Trochę wina spłynęło mu po brodzie na kożuch, ale wcale tego nie zauważył. Zamówił butelkę „żywca”, którą można było mieć za dolara albo za 16 złotych. Kurs wylaczono znakomicie, bo tyle dolar na Zachodzie wart jest w rzeczywistości. O dwie klasy lepszy to był „żywiec” od krajowego, choć etykieta na butelce czerwieniła się ta sama.

Nowaczyk przysunął szampana do dziewczyny.

— Przeplucz gardło jak ci stawiają, bo tam po drugiej stronie nikt ci nie postawi.

Dziewczyna na moment zmartwiała. — Nie się nie bój — zaśmiał się Nowaczyk — Ze mną nie zginiesz. Pod rzucę cię z Cleveland do Chicago samochodem. Potem napiszesz do tej twojej Bukowiny, że nawet nie wiedziałas kiedy podróż przeleciała. Sam pochodzę ze wsi, żebyś wiedziała, lasy lasy, przeźroczyta rzeka i nigdzie żadnego asfaltu. Potem przyszła Afryka, Anders, przyszła Anglia. Po Londynie tłułem się 7 lat, szkoda było tego czasu, bo ci angielscy lordowie zeszli po wojnie całkiem na psy. Jestem teraz w Cleveland za mechanika, błęty tych 13 tysięcy dolarów rok w rok, no tak, ale z tego odchodzi 3 tysiące na podatki i spłaty ubezpieczeniowe, żeby była dodatkowa renta bo z fabryki dostanę 160 dolarów miesięcznie, a z tego to już w Stanach, moja droga, nikt nie wyżyje. Dolar w Ameryce nie ten co u nas w kraju. Pójdiesz do fryzjera ostrzyć włosy i już 'ci 3 dolary, kupisz 100-watową żarówkę, bo stara się przepaliła i już leca 2 dolary i tak ze wszystkim. Największe prawa mają u nas Murzyni. Jak tak dalej pójdzie to Stany zamienią się w jeszcze jedną Brazylię. U nas wciąż się krzyczy wolność, wolność, ale tak naprawdę to nigdzie człowiek nie jest wolny, żeby mógł robić co akurat chce. Myślisz, że mam tam łatwe życie? Ci Amerykanie dalej mówią do mnie foreigner, poznają po akcencie, choć przesiedziałem w Cleveland już prawie ćwierć wieku. U was to naj-

bardziej spodobalo mi się duże zrównanie w zarobkach...

— Co pan dziś zamawia? — zapytała Marta spoglądając na Kobielę.

— Coś polskiego, koniecznie coś polskiego — Kobiela patrzył z uśmiechem na dziewczynkę.

Jan Bąbiński



JAN BĄBIŃSKI — publicysta radiowy, autor reportażów i książek: „Noc w Sobor”, „Chromanta i komputery”, „Drogi do kariery”.

— W menu jest dzisiaj omlet mirelille, duszony pałasz z grzybkami, karotka z wody, pasztet cielęcy, pieczeń wieprzowa z korniszonami i jeszcze tam coś i jeszcze. Ale radziłabym zacząć od twarożku ze szczyptkami, zielonych oliwek i od sałatki Windsor. O Boże... nigdy jeszcze nie kosztowałam sałatki Windsor.

Wczesnym rankiem, jak tylko się nieco rozwidniło wyostałem się pokretnym labiryntem korytarzyków na górny pokład. Statek przepłynął obok Frederikshaven, okrążył Skagen najbardziej na północ wysunięty skrajek duńskiego lądu i od kilku już godzin pruł wody Morza Północnego. Tuż przy otwartym basenie pływackim dostrzegłem na pokładzie ciemną sylwetkę. Na deskach pomostu nieruchomy jak głaz stał Nowaczyk trzymając się oburącz żelaznych krat balustrady. Dął silny wicher. Fala uderzała w burtę z coraz większym impetem. Nowaczyk miał oczy wlepione w skotłowane morze. Był zielony na twarzy.

— Oka w nocy nie zmrzyłem — powiedział. — Falowało strasznie, tu tak

krótkich, następnie jeden długi syreny okrętowej. Wtedy trzeba błyskawicznie włożyć life-jacket, zabrać koc i pospieszyć do punktu zbiorczego. Coś w tym musi być, kiedy pasażerów się ostrzeża. Niech pan spojrzysz na łodzi

„BATORY” DO ROTTERDAMU

ratunkowe co wiszą nad nami. Działają mi na nerwy. To lupinki, sztorami je wywróci i porozrywa na kawałki. Nowaczyk nieoczekiwanie zmienił temat.

— To bogaty człowiek ten cały Kobiela, z którym siedzi pan w jadalni przy jednym stoliku. Był kiedyś w Łodzi kotoniarzem, teraz ma własną fabryczkę. W ogóle ta powojenna emigracja to nie analfabeci spod Nowego Targu. Dorobił się, ale szczęścia mu to nie przyniosło.

— Co pan ma na myśli?

— Jego pierwsza żona Amerykanka mało go nie puściła z torbami. Drugą żonę dopiero co rzucił. Wziął z nią ślub w Warszawie przed dwoma miesiącami. Ona miała już dziecko, taką blondynkę, z pierwszego małżeństwa. Jak tej drugiej żonie wszystko pozalał, kupił willę, bo zamierzał na starość przenieść się całkiem do kraju, jak jej zostawił te dolary i tak dalej, to ona wyzwała go od jolopów, starych daniadżyw, to ona mu w twarz, że nie może na niego patrzeć, bo ją mdo-

wijających się węzowato żelaznych schodków i półmetrowej szerokości przesmyków czulem się jak w potrzasku. Nigdy nie mogłem do siebie trafić. Myliłem górny pokład ze środkowym i środkowy z dolnym a stronę parzystą kabin ze stroną nieparzystą.

Kabina była maleńka, półtora na dwa i pół metra, w niej dwie przycze, jedna nad drugą, przymocowane do bocznej ściany. Na nich koc, pled, pod nimi mikroskopijny dywanik. Jeszcze zlew z bieżącą wodą, lustro, stolik krzesło i kilka wbudowanych szafeczek. Wysoka fala tak już zaczynała szarpać, że trzeszczały spojenia w zbiorniczku pod lukiem zbierała się woda. To szczerne i niesłychanie masywne krągłe okienko pod silnym uderzeniem fal jednak trochę przepuszczało. Słychać było przeciągły grzmot.

W południe ciężka i mroczna lawica chmur rozbiegła się w cztery strony świata. Sztor ustął. Rozjaśniło się. Na otwartym pokładzie rozłożyłem się na leżaku. Obok spoczła Kobiela. Oczy mu błyszczały. Był w pogodnym nastroju. Nowaczyka nigdzie nie dostrzegłem.

— Nowaczyk latał podczas wojny bombowcem flying fortress — oświadczył Kobiela.

— Bombardował Essen, Dortmund, Gelsenkirchen i te inne miasta nad Ruhrą. Stałono go gdzieś tutaj nad Morzem Północnym. Smażę z niego to morze zrobiło. Był już nieprzytomny, kiedy go wylowili angielski kontroptedowiec. Przeleżał kilka miesięcy w szpitalu, wykaraskał się, ale od tej pory został mu uraz i morza nieawidzi. Zdecydował się na ten rejs dopiero teraz po 30 latach. Przemógł się. Może to ma być dla niego wstrząs po którym już wróci do formy? Nie wiem, to dziwny człowiek, prawdę mówiąc, gada czasem od rzeczy.

Późnym wieczorem zająłem do sali tanecznej. Kobiela zadziwiająco lekko wirował na parkiecie z Martą. Rysy jego twarzy wyrażały zwykłe siłę, upór i zdecydowanie. W obecności kobiet potulniał i jakby się zatracał. Nowaczyka i tutaj nie dostrzegłem. Nazajutrz transatlantyk wjeżdżał w rózowy świt Rotterdamu kiszkowatym kanałem Nieuwe Waterweg, który prowadził przez 30 kilometrów do przystani pasażerskiej. „Batory” przebił się dwie bite godziny przez płatynę kopulastych zbiorników na ropę naftową, instalacje niezlaznych rafinerii i tych innych chemicznych kolosów, które po obu brzegach kanału rzygały strugami złotych odchodów. „Batory” to solidna firma i niezniszczalna. Wciąż kursuje na transatlantyckiej trasie, choć jak się słyszy, te inne okręty pasażerskie porobiły plajty. Dwa transatlantyki włoskie „Micheangelo” i „Raffaello” przyniosły w zeszłym roku 65 milionów dolarów deficytu. Ponoć szach perski nosi się z zamiarem ich zakupu. Szach może się z groszem nie liczyć, siedzi na miliardach.

Po śniadaniu zesłaliśmy trzem do komory celnej. Wpierw celnicy dość pobieżnie sprawdzali bagaże Holendrów. Polacy mieli czekać.

— Jadę do męża w Belgii — powiedziała Marta, popychając do przodu córeczkę — Mąż pracuje w Antwerpiu w garażach u Forda. Zajął mi dorywczą pracę w szlifierni diamentów.

Marta roześmiała się. — Czuję się trochę głupio. Pan Kobiela chce mi przesłać przez swoją sekretarkę zaproszenie z biletami do Ameryki. Niby że poznałam jego sekretarkę na statku. To już starszy pan, ale muszę powiedzieć, że wcale po nim tych lat nie poznaję.

— Dlaczego mi pani o tym mówi?

— Przecież robi się ciężko na duszy, gdy człowiek komuś się zwierza, kogo już nigdy w życiu nie zobaczy.

Marta znów się roześmiała.

Kiedy na przystani wchodziłem do autobusu, który odchodził przez most Willems Brug do śródmieścia Rotterdamu obejrzałem się. Na pokładzie stał gęsty tłum Kanadyjczyków, Amerykanów polskiego pochodzenia i Anglików, którzy wysiadali w Londynie. Odróżniłem sylwetkę Kobieli, który stał lekko wychylony do przodu ze wzrokiem skierowanym nieruchomo przed siebie. Nowaczyka nie dostrzegłem. Co się z nim stało? Już drugi dzień nie widziałem go na oczu. A tak lubił wystawać godzinami na odkrytym pokładzie. Może wypadł podczas sztormu za burtę? Zajmował pojedynczą kabinę. To mogło potrwać kilka dni nim by się zorientowano, że kogoś brakuje. A może zmogła go morską choroba i leżał teraz wyciągnięty na przycy? Co się stało z Nowaczykiem? Nie wiem, po dziś dzień tego nie wiem.

JAN BĄBIŃSKI



Mirosław Kuźniak

O śnie mój śnie mój wierny
Wypisany na niebie ciemnym
Wypisany gwiazdą co spała
W tego słowa krzywe zwierciadła
Nim zwierciadła nagle roztrzaska
Śnie mój stań się Bądzie jasność
Jak mi teraz bez ciebie ciężko
Śnie mój czekaj zatrzymam cię ręką
Wtopię w oddech Ramieniem otoczę
Jesteś noc i odchodzisz w nocie
Jesteś cień i odchodzisz w ciemność
Jesteś słowo
i słowo daremne

Zamknęła się nade mną twoich ramion przystań
Gdy przyplwł Gdy odpływ
Gdy ostry wiatr w ściany
Znowu ciemność jest lepka jak tajny atrament
Zapisujący naszą aż do świtu pewność
Zamknęła się nad tobą moich ramion przystań
Gdy wiatr we wszystkie okna
Jak akompaniament
Naszyc oddechów, które zakryły przed nami
Odrębność naszych myśli Niepowtarzalność rąk
Tylko świt się rozbija o obcość naszych ciał

zawsze na Morzu Północnym. Dlaczego morze tak się zmienia. Wczoraj było gładzinkie jak tafla, dziś się piekło dlaczego nic nie może zostać nigdy niezmiennym?

Po dłuższym milczeniu Nowaczyk zapytał.

— Czy ma pan w kabine life-jacket?

— Oczywiście.

— A widział pan w korytarzu oszkloną tabliczkę w aluminiowej ramce? To sygnał alarmowy, 8 dźwięków

ści biorą na sam widok. Teraz Kobiela się męczy, ciągle opowiada o tej dziewczynie. Ja panu powiem, takich jak Kobiela to by trzeba brać przed kobietami w obronę.

Późnym wieczorem obejrzałem w sali kinowej dość zwirowany western „Samuraj i kowboje”. I wtedy poczułem, że zaczyna kołysać na dobre. Z trudem wielkim przebrnąłem do kabiny. W pierwszym dniu błędziłem. W tej kotłowni przejeść, zakręcić, różnych otworów, włazów, wylotów,

Dalszy ciąg ze str. 1

W czasie okupacji hitlerowcy nie nadawali z Łodzi żadnych programów — większość urządzeń zdemontowano i wywieziono. Bez serca rozgłośnia, amplifikatorni, podstacji i reżyserii rozgłośnia była tylko kupa gruzów — napisze notem w rocznicowym wspomnieniu Zbigniew Wojciechowski. Ale już pierwsze mroźne dni stycznia 1945 roku monterzy i technicy z inż. **Wacławem Gawrońskim** na czele przystąpili do pracy. Warto dodać że inż. Gawroński był właśnie projektantem owej przedwojennej łódzkiej radiostacji.

Najpierw rozgłośnia — a raczej radiowęzeł nadający tylko na uliczne megafony — mieściła się (już od lutego 1945) w domu mieszkalnym przy al. Kościuszki. Potem maszyny i brakujące transformatory wykonali pracownicy fabryki „Elektrobudowa”, a ślusarze zakładu **Józefa Gajewicza** wyremontowali wysoki na 60 metrów maszt radiostacji.

Po raz pierwszy po sześciu latach wojny, 29 września 1945 słuchacze usłyszeli słowa: „Halo, tu mówi Łódź...”

Dzisiaj radio stało się już potężną instytucją i nawet rozwój telewizji radiofonii wcale nie zaszkodził. Powstały bowiem całe „rodziny” tranzystorów, narodził się program ultrakrótki — na tym zakresie fal nadaje dziś także rozgłośnia łódzka.

Oczywiście w tym krótkim wstępnym — prezentacji naszego „radioowego” numeru nie sposób powiedzieć wszystkiego o roli i znaczeniu Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia. Myślę, że z prezentowanych tu materiałów naszych kolegów wyłoni się jakiś przybliżony chociaż obraz tej gigantycznej dźwiękowej gazety.

A jest to w istocie gazeta gigantyczna. Obliczyłem kiedyś, że sama tylko Redakcja Literacka publikuje na antenie (bez ilustracji muzycznych) taką porcję tekstów, że można by z nich kompletować co tydzień sporej objętości czasopismo.

Podobnie rzecz wygląda w innych redakcjach PR. Zarówno w programie lokalnym jak i na antenie ogólnopolskiej bardzo energiczna i aktywna jest na przykład Redakcja Rolna.

Jakże nie wspomnieć również o tych, którzy kierują muzyczną stroną radiowego programu — o **Edwardzie Dulskim**, o **Honie Grzesiak**, **Marli Hoffmann**, o tych wszystkich, którzy będąc muzykami są po prostu świetnymi dziennikarzami — radiowcami.

O muzyce w radiu pisze w tym numerze **Zygmunt Gzella**, ale przecież nie sposób zapomnieć, że radiowa muzyka to także programy rozrywkowe.

Do historii przeszedł już zespół mandolinistów **Edwarda Ciukszy** — niezwykle popularny, przez całe lata chętnie słuchany. Nawet, kiedy w zapędzie likwidatorskim próbowano kie-

niem w annały dziejów polskiej radiofonii. Ale wyrosła nowa, znakomita orkiestra **Henryka Debicha**, która właśnie teraz obchodzi swój piękny jubileusz

nika artystycznego z estrad festiwalu i koncertów. Orkiestra **Debicha** to tysiące nagrań, to ogromna porcja muzyki rozrywkowej na bardzo wysokim poziomie.

A ileż kilometrów taśmy zmontował przez całe lata **Ludwik Szumlewski**, realizując swoje niezwykle popularne audycje sportowe „Runda z piosenką”. Ileż transmisji przeprowadziła Redakcja Sportowa? Dziś, kiedy w radiu króluje zapis magnetofonowy, kiedy audycje „na żywo” są wyjątkiem — właśnie radiowi dziennikarze sportowi prowadzi tę trudną, odpowiedzialną i diablo wyczerpującą pracę. Nie więc dziwnego, że **Zbigniew Wojciechowski**, relacjonując jakiś mecz, wykrzyknął w zapale: „atak LKS spelnił na panewce”, co było twórczym rozwinięciem dwóch powiedzonek: „spalić na panewce” i „spełnić na niczym”.

Napisałem powyżej, że z audycji radiowych dziennikarzy można co tydzień kompletować dużą gazetę. To prawda, ale także z tych audycji można kompletować książki. Przecież interesujące gawędy o dawnej Łodzi zawarte w paru książkach **Jerzego Urbankiewicza**, zanim oblekły się w poligraficzny kształt, docierały do nas na falach eteru. Podobnie reportaże **Jana Bąblińskiego**, podobnie refleksje teatralne **Marka Wawrzkiwicza**...

Ale są dziennikarze, którzy książek nie piszą, których teksty i słowa żyją jeden dzień, którzy żywią się materiałem codzienności — informują nas w codziennych relacjach o aktualnościach dnia. Czyż można sobie wyobrazić radio bez tej powszechnej dawki informacji? Bez reporterskich audycji **Henryka Polaka**, czy **Włodzimierza Luszczkiewicza**, **Krzysztofa Turowskiego**.

Wiele lat dyrektorem Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia był red. **Jan Pakula**, obecny redaktor naczelny „Głosu Robotniczego”. Przed laty w wywiadzie udzielonym „Odgłosom” mówił o przebudowie starego studia — dodajmy — studia, w którym pracowało ponad 200 osób, choć pomieszczenia przystosowane były dla zaledwie... czterdziestu osób.

Dzisiaj większość z tych planów została już zrealizowana, choć w dalszym ciągu istnieje pilna potrzeba budowy w Łodzi centrum radiowego z prawdziwego zdarzenia.

A rola radiofonii wciąż rośnie — radio nie tylko zbliża odległości, ale zbliża także do siebie ludzi, przybliża im sprawy dnia codziennego i wielkie problemy, daje rozrywkę i naukę. Jest jednym z najbardziej sugestywnych publikatorów niosących nam wiedzę o rzeczywistości.

JERZY WILMAŃSKI

HALLO, TU MÓWI ŁÓDŹ...



dyś zespół rozwiązać, to właśnie słuchacze zaprotestowali gorąco przeciwko nieobecności na antenie tej specjalistycznej muzyki.

Czas jest jednak nieubłagany — zespół **Ciukszy** jest już dziełem historii, odszedł razem z twórcą i kierowni-

dwudziestopięcioletnia. Orkiestra **Debicha** to całkowicie odrębny i bardzo piękny rozdział w polskiej muzyce rozrywkowej — nie trzeba go w tym miejscu zbytnio reklamować. Wszyscy znają zarówno orkiestrę jak i elegancką sylwetkę dyrygenta i kierow-

JADWIGA CEDROWSKA



Pamiętam różne wpadki i przygody, o których jednak tylko my wiedzieliśmy, bo na antenie, jak zawsze, wszystko musiało być w porządku.

Pewnego razu na koncert nadawany ze studia, z powodu zasnienia kierownicy — wykonawcy zjawiali się stopniowo i wchodziłi do studia bez butów, na palcach.

Innym razem profesor **Stromenger** wygłaszał swój felieton „z głowy”, komponując na poczekaniu i dobierając nową ilustrację muzyczną, ponieważ płyty do przygotowanej audycji potłukły się w drodze do rozgłośni.

Któregoś znów dnia, na uroczystym koncercie transmitowanym z Filharmonii Łódzkiej, **Zyranold** spadł tuż pod nogi prowadzącego koncert kolegi **Igora Sikirzyckiego**. Słuchacze usłyszeli tylko dziwny huk, ale koncert trwał dalej.

To były niezapomniane przeżycia, oplacane nerwami.

LUDWIK SZUMLEWSKI



Po wznowieniu pracy sprawozdawcy radiowego po drugiej wojnie światowej czułem się jakoś niepewnie. Przez cały czas okupacji nie miałem przecież mikrofonu w ręku. Z oflagu powróciłem do kraju w marcu 1946 r. a już w kwietniu polecono mi (jako przedwojnemu sprawozdawcy) przeprowadzenie bezpośredniej transmisji z uroczystości wręczenia buławy marszałkowskiej, ufundowanej przez robotniczą Łódź **Marszałkowi Polski Michałowi Roli-Zymierskiemu**. Z wielką treścią przystępowałem do przeprowadzenia tej transmisji. Zdałem sobie sprawę z tego, że w ferworze szybkiej relacji mogę popełnić jakąś gafę.

Jako ciekawostkę z tej transmisji zanotowałem sobie następujący fakt. Opisując radiostuchaczom buławę marszałkowską, w pewnym momencie przeprosiłem **Marszałka** i wziąłem buławę do swojej ręki. Zaczęłem mówić:

„Proszę państwa, buława wykonana jest ze specjalnego stopu metali. Ma około pół metra długości. Na pierwszym planie widzę dwie lufy armianie, a na obwodzie członka tkaćki, symbolizujące przemysł łódzki. Poniżej widzimy **Godło Państwowe**, a następnie napis: „**Marszałkowi Polski w hołdzie Robotnicza Łódź**”.

Marszałek Zymierski, słuchając mojej relacji, nie wytrzymał nerwowo, odebrał mi buławę z ręki i powiedział: „**Dosyć, dosyć tego wszystkiego!**”

A to się stało przy otwartym mikrofonie.

Po raz drugi zetknąłem się z **Marszałkiem Zymierskim** przy nagrywaniu reportażu dźwiękowego z pierwszej w Polsce Ludowej promocji podchorążych. Było to we wrześniu 1946 r. Armia nasza nie była jeszcze tak umundurowana jak dziś. Jeden z podchorążych miał na sobie mundur uszyty z gabardiny. Skomentowałem to wówczas w sposób następujący:

„W naszym Ludowym Wojsku nie możemy jeszcze pochwalić się jednokowym umundurowaniem. Widzę tu np. jednego podchorążego w mundurze z gabardyny, ale w kolorze khaki. Innego znowu w mundurze przedwojennym, ale to nieważne. Ważne jest to, że od dnia dzisiejszego staną się oni wychowawcami i instruktorami żołnierzy w **Polsce Ludowej**”.

W tym momencie usłyszałem słowa **Marszałka**: „**Mianuję Was podporucznikiem Wojska Polskiego**” — „**Ku chwale Ojczyzny, Obywatelu Marszałku!**”

Z kolei **Marszałek** zapytał: „**Gdzie uszyty wasz mundur?**” **Podporucznik** odpowiedział dziarsko i wyraźnie: „**Prywatnie, Obywatelu Marszałku!**”

KONRAD FREJDLICH

PIÓRO, MIKROFON I EKRAŃ



Wiek XX wprowadził niemalże zamieszanie do tradycyjnych pojęć o kulturze, która, gdy rozpatrujemy na przykład zjawisko zwane literaturą, kojarzyła nam się z książką, drukiem, a w każdym razie piśmem. Chciałem powiedzieć: ze słowem, będącym przecież tworzywem literatury, ale byłoby to nadużyciem, gdyż słowo, na którym opiera się kultura druku, książki znajduje zastosowanie znacznie szersze. Nawet w tych dziedzinach, które wydawać nam się zrazu mogły zaledwie wynalazkiem z dziedziny inżynierii, takich jak film, radio, telewizja. Wystarczy przecież przypomnieć jedno z pierwszych zastosowań radia: audycje. Nie waham się tak stwierdzić, którą **Popow** nadał 16 stycznia 1900 z miasta **Kotki**. Brzmiała ona jak następuje:

„**Hallo Hogland! Dzisiaj zaczęliśmy pracować. Nadajemy z latawca. Długość przewodu około 15 sążni.**”

Brzmiała to określenie zbyt przesadne. Raczej trzeszczała, bo przecież nadajnik **Popowa** składał się z iskierki i klucza telegraficznego. Toteż początkowo radiostacje nadawały zaledwie telegramy. Jeden z nich uratował w roku 1900 życie fiń-

skim rybakom, których kra wyniosła na pełne morze.

Ale w miarę jak nowe wynalazki udoskonalane były technicznie, zmieniły zarazem swoje zastosowanie. Przeszły być tylko inwazją inżynierii, stały się inwazją nowej kultury opartej już nie o druk, lecz o mikrofon, kamerę, ekran. Wystarczy wprowadzić przypomnieć spory i dyskusję o tym, czy taki wynalazek jak film jest sztuką, aby zrozumieć, że nowa wrażliwość nie od razu utarowała sobie drogę do świadomości ludzkiej, ale tradycjonalistki dawno musieli skapitulować. Dziś kino nazywane jest często **X Muza**, młodszą jego siostrzycą telewizja **Muza XI**, ale nikt nie wątpi, że jedno i drugie należy do **światy Orfeusza**.

Piszę o tym wszystkim dlatego, że rozterki, jakie towarzyszyły wprowadzeniu na **Parnas** radia czy telewizji, nie pozostały bez wpływu na samą literaturę, która często korzysta z ich technik. Nie pozostały także bez wpływu na pisarzy, którzy coraz częściej przyswajają sobie muszę nowe umiejętności, nowe sposoby wypowiedzi i nowe techniki determinowane przez wymogi inżynierii w dosłownym znaczeniu tego terminu. Tradycyjny oręż pisarza: pióro, najpierw gęsie, potem wyposażone w stalówkę, a ostatnio kulkowe coraz częściej ustępować muszą miejsca mikrofonowi i kamerze. Decydują się na to niechętni, bo ten przewrót zna-

mionujący nową erę w literaturze niesie w sobie nie tylko pasjonującą przygodę, ale związane z nią ryzyko, wymaga wyobraźni i pomysłowości.

W łódzkim środowisku literackim jednym z takich odważnych przedstawicieli nowych technik pisarskich jest **EDWARD SZUSTER**. Zadebiutował wprawdzie tradycyjnie powieścią „**Płonący krzak**” w roku 1947, potem opublikował książkę reportaży „**Nie-zwykła starość**”, w ślad za nią wspomnienia „**Opowieść o zmarnowanym entuzjazmie**”, wreszcie tom opowiadań „**U stóp starego kominia**” i dwie kolejne powieści „**Leśni**” oraz mającą dwa wydania „**Na tropach Billa**”, lecz w jego biografii znajdziemy momenty świadczące o tym, że interesowały go także mniej tradycyjne w sensie technicznym sposoby wypowiedzi. Przez pewien okres czasu pracował na przykład jako redaktor w filmie, potem wiele lat poświęcił na mariaż z młodzieńską telewizją, a obecnie związany jest z radiem. Szczególnie owocny w jego autorskim dorobku wydaje mi się związek z TV, który przyniósł przedsięwzięcie dość niezwykłe, książkę pt. „**Dragon**” noszącą podtytuł „**I sześć innych opowieści z kineskopu**”. Jest to książka w tradycyjnym znaczeniu tego słowa oparta o kulturę druku i składająca się na nią oprócz tytułowego „**Dragona**” także utwory jak „**Zasadzka**”, „**Portret rówieśnika**”, „**Tropienia dni dziesięć**”, „**Dwie tuste gęsi**”, „**Zamorski gość**” oraz „**Wiosenny deszcz**”.

Ale jest to jednocześnie książka o tyle niezwykła, że złożyły się na nią scenariusze widowisk telewizyjnych emitowanych na przestrzeni pięciu lat, w latach 1965—1970 w ogólnopolskim programie telewizyjnym.

Scenariusz, jest to rzecz chyba dla pisarza najbardziej bolesna, stanowi dla filmu czy telewizji zaledwie surowiec, zaledwie moment wyjściowy. W widowisku telewizyjnym czy też w filmie ulega on przekładowi na inny język, głównie obrazu, ale przecież istotną sprawę odgrywa podkład dźwiękowy, efekty akustyczne i muzyczne. Widowisko TV czy film ma wielu ojców, pisarz jest wprawdzie jednym z nich, ale nie na prawach najważniejszych, spełnia tam rolę służebną. Jest to jedna z przyczyn obaw i oporów jakie pisarze mają decydując się na współpracę z tymi molochami techniki, które mają tyłu ojców, a zarazem tyle dzieci, bo jednorazowa nawet emisja widowiska telewizyjnego gromadzi przy odbiorniku wielokrotnie większą liczbę odbiorców niż łączny nakład książek najwybitniejszych nawet pisarzy. Nowe techniki pociągają więc a zarazem odpychają pisarza i ta ambiwalencja wydaje się nie do przezwyciężenia.

Można więc zrozumieć tęsknotę **Szustra**, gdy nieznacznie tylko adaptując swoje widowiska telewizyjne na potrzeby druku opublikował siedem opowieści z kineskopu. Wyszedł z tej próby zwycięsko, opowieści te bowiem nie tracąc nic ze swych walorów dramaturgicznych, są przecież literaturą. W „**Dragonie**” proponuje nam **Szuster** swolist teatr wyobraźni, i próba ta zasługuje na szacunek i uwagę.

Będziemy w dalszym ciągu śledzić te penetracje nowych technik, co jest tak przecież ważne w epoce kultury obrazu, która zepchnęła kulturę druku jeśli nie na margines, to w każdym razie odbierając jej monopol na kształtowanie świadomości i wywołanie wzruszeń. Będziemy także czekać na nowe utwory **Szustra** pisane na użytek radia, które spośród wszystkich wynalazków technicznych naszego wieku, najbliższe są nam, bo oparte o słowo, bez którego ludzie nie mogą się porozumieć.

AUTORZY RADIOWI na ŁAMACH „ODGŁOSÓW”

MIKROFON I KSIĄŻKA



WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI — redaktor audycji literackich, prozaik, autor między innymi książek: „Osiemka starszego kolegi”, „Pomnik bez cokołu”, „Między prawdą a chybieniem”, „Sprawa”, „Świętokrzyski polonez”, „Pojeźdźnia”.

Nasi rodzimi katastrofiści prorokowali swojego czasu — powtarzając za innymi — koniec literatury pięknej w postaci klasycznej, prorokowali koniec książki. Powiadali mianowicie, że nowoczesne formy popularizowania literatury, w pierwszym rzędzie radio i telewizja, zepchną słowo drukowane na daleki plan, nastąpi spadek nakładów, masowy odbiorca odwróci się od książki, wystarczy mu miękki fotel dobrej czy i starannie przetrzebranej literatury, w pierwszym rzędzie kultury dźwiękowej i wizyjnej z drugiej strony jest nieuchronny, a klasyczna literatura przepadnie. W ten sposób miały iść świat ku przodowi.

Okazało się wszakże, że takiego konfliktu w ogóle nie ma, występuje natomiast coraz bardziej wyraźne współbrzmienie, obserwujemy rosnący głód literatury pod każdą postacią, oczywiście literatury dobrej, narzekamy na zbyt małe nakłady wielu książek, cieszy nas, chociaż nie w każdym przypadku, prawdziwa inwazja literatury w filmie, telewizji i już od wielu lat w radu. Nie w każdym przypadku, bo przecież mało chyba kogo zachwyciły „Emancypantki” jako podoryzowany wodewil dla dorastających panienek z ubiegłego wieku. Jeśli kiedyś przyjdzie wielki dzień gniewu i wstąpi na sąd klasycy, aby wymierzyć sprawiedliwość swoim adaptatorom współczesnym, to wielki będzie krzyk i surowe wyroki. Konflikt więc jest, ale polega on na czymś jeszcze braku szacunku dla pierwowzoru literackiego, a nie usunięciu literatury w cień.

Myszę, że szczególne zasługi na polu popularyzacji literatury ma w pierwszym rzędzie radio, ono pierwsze ukazało urok i moce pisarskiego słowa. Starsi pamiętają z pewnością jak wielką popularnością w latach międzywojennych cieszyła się powieść odcinkowa Marii Kuncewiczowej — „Dni powszednie państwa Kowalskich”. Za interesowanie było tak ogromne, że kiedy powieść została skończona — słuchacze zaprotestowali, był to bez mała jedyny w swoim rodzaju strajk. Autorka, która bohaterów zgubiła, była zmuszona dopisać zakończenie w postaci nowej książki, zatytułowanej — „Państwo Kowalscy się odnaleźli”.

Pisarz, jestem o tym przekonany, dobrze się czuje w radu. I chyba nie tylko dlatego, że antena radiowa jest znacznie pojemniejsza od wszystkich tygodników literackich, więcej słyszymy prozy, również odcinkowej, poezji, montażu literackich, rozmów czy dyskusji na temat literatury. I nie tylko dlatego, że Teatr Polskiego Radia, wlece już zasłużony, dostarcza pisarzom wciąż nowych satysfakcji, starannością wykonania, większym niż gdzie indziej szacunkiem dla tekstu. Jeśli już przy teatrze radiowym jesteśmy — warto dodać, że powstaje on niejako zbiorowym wysiłkiem poszczególnych rozgłośni. Niektóre z nich, że dla przykładu wymienię Kraków, czy ostatnio Katowice, dorobiły się wielu cennych pozycji. Pod tym względem również i Łódź należy do pierwszych.

Udział literatury we wszystkich programach radiowych jest zbyt oczywisty, aby się nim szerzej zajmować. Warto natomiast zwrócić uwagę na czynny udział radia w kształtowaniu rozwoju literatury. Ta sprawa wydaje mi się najważniejsza. Powiadano często, że radio bierze po prostu od twórcy to, co się na antenie nadaje, innej roli pełnić nie może, to tylko skrzynka pocztowa, tyle tylko, że z listami nieco starannie adresowanymi. Jeżeli nawet tak kiedyś było, to dzisiaj sytuacja ulega wyraźnej zmianie. Coraz częściej pisze się specjalnie dla radia, a więc już nie ono adaptuje tekst do swoich potrzeb, lecz twórca wypowiada się własnym, radiowym językiem. Jesteśmy więc świadkami powstawania nowej i pełnowartościowej specjalności literackiej, nowego gatunku twórczości, obok prozaika, poety, czy dramaturga, pojawił się pisarz radiowy, który za tę właśnie twórczość może być tak samo nobilitowany, uznany i weryfikowany.

Tak więc owo współbrzmienie, o którym była już mowa, tak bardzo widoczne na radiowej antenie, sprzyja rozwojowi nowych gatunków literackich, w pierwszym rzędzie dramatycznych. Otwiera możliwość wypowiedzenia się w formach sugestywnych, wzbogaconych świetną grą aktorską i dźwiękiem, możliwość zetknięcia się z daleko większą publicznością niż to bywa w wypadku książki.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

„Pokój, który dotychczas jeszcze nosi nazwę dziecinnego. Jedne drzwi prowadzą do pokoju Ani. Świt, niebawem wszędzie słońce. Już maj, wiśnie kwitną, ale w sady jest chłodno: szron. Okna w pokoju są zamknięte.”

Tak wyobrażał sobie Antoni Czechow scenariusz do I aktu komedii „Wiśniowy sad”.

W Teatrze Powszechnym, po podniesieniu kurtyny widzimy chatkę „Baby Jagi” z której sterczą gałęzie kwitnących drzew, możemy się domyślić, że to wiśnie. Chatka jak z niedobrego snu, trochę straszna. Za chwilę na scenę wejdzie Lubow Andriejewna Raniewska, bohaterka komedii sentymentalnej. Za chwilę będziemy świadkami wielkiego melodramatu.

Cytując opis miejsca akcji do sztuki wielkiego dramaturga rosyjskiego, nie czynię prof. Wiktorowi Zinowi zarzutu za odstępstwa od życzeń autora „Wiśniowego sadu”, chociaż Czechow, jak rzadko który pisarz, doskonale „czuł” scenę, znalazł się na teatrze i na rzemiosło aktorskim. Chodzi mi po prostu o to, że metaforyka profesora jest zwierzyła i nie stwarza klimatu, atmosfery koniecznej dla sztuk Czechowa. Sądzę też, że dekoracje i kostiumy Zina nie pomogły ani reżyserowi Ryszardowi Sobolewskiemu, ani aktorom.

Drugi akt „Wiśniowego sadu”, zgodnie ze wskazówkami autora, winien rozgrywać się wśród pól, obok starej kapliczki i studni, przy drodze do miastka, a nie wokół i na grobowcu. Rozmowy, szczególnie tercet złoty: Duniaszy (H. Molenda) Jępichodowa (T. Sabara) i Jaszy (M. Szewczyk) brzmią dosyć upiornie w scenarii cmentarnej.

Akt III i IV jest powrotem do chatki „Baby Jagi” tylko już bez kwitnących wiśni.

„Wiśniowy sad” znam z kilku inscenizacji, zawsze mnie wzruszał, zawsze z niecierpliwością oczekiwałem pojawienia się na scenie kobiety fatalnej, kobiety niezwyklej urody i wdzięku — Lubow Andriejewny Raniewskiej. Ale obok niej Czechow prezentuje wspaniałą galerię typów, ludzi trochę przegranych, ludzi, którym niejedno w życiu się nie powiodło. Oczekiwałem więc na brata Raniewskiej Gajewa, na jej córki: Annę i Warię, dziewczynę zaadaptowaną, pozorną realistkę, która w IV akcie tak pięknie zagra scenę z przedsiębiorczym kupcem, nabywcą wiśniowego sadu i potencjalnym kandydatem na męża Lopachinem. Warię wszystko się nie udało, ratunkiem przed rozpaczą pozostała praca i tylko praca. Czekalem na wiecznego studenta — idealistę Piotra Trofimowa i dużo obiecywałem sobie po scenie z III aktu, po jego rozmowie z Raniewską.

Niestety, tylko część moich oczekiwań zrealizował teatr. Przede wszystkim Raniewska w interpretacji Jadwigi Siennickiej choć tak różna od widzianych przeze mnie; między innymi od Zofii Jaroszewskiej z Kąkawy, sprawiła mi dużą, ale niepełną satysfakcję. Może tak chciał reżyser, może aktorka, ale partie tekstu dotyczące jej tęsknoty do wiśniowego sadu i żalu z powodu sprzedaży majątku, brzmiały powierzchniowo, być może

wielkiego melodramatu przez Czechowa nazwanego komedią.

Nielatwo było w scenografii Zina stworzyć atmosferę intymnych zwierzeń, romansowych uniesień. Sukces i porażka, nadzieja i zwątpienie, radość i smutek w chatce „Baby Jagi” mogły w każdej chwili stać się sennym marzeniem, zwidem, co pomniejszyłoby wymowę sztuki. Niektórym aktorom jak np. Siennickiej i Mazankowi udało się grać wbrew zamierzeniom sceno-

grafii, które nazywa komedią. Nielatwo było w scenografii Zina stworzyć atmosferę intymnych zwierzeń, romansowych uniesień. Sukces i porażka, nadzieja i zwątpienie, radość i smutek w chatce „Baby Jagi” mogły w każdej chwili stać się sennym marzeniem, zwidem, co pomniejszyłoby wymowę sztuki. Niektórym aktorom jak np. Siennickiej i Mazankowi udało się grać wbrew zamierzeniom sceno-

STEFAN KUBICKI

WIŚNIOWY SAD



STEFAN KUBICKI — Kierownik Redakcji Audycji Literackich, publicysta, autor słuchowisk, redaktor Teatru Polskiego Radia.

taka była koncepcja, ale w moim odczuciu jest to zubożenie i roli i sztuki. Siennicka miała sceny kapitalne, wymieniłem chociaż trzy: pierwsze pojawienie się na scenie i rozmowy z domownikami, późniejsza rozmowa ze studentem w III akcie i wzruszające pożegnanie. Siennicka w roli Raniewskiej jest kobietą bardzo atrakcyjną, czasem szaloną, intrygującą skomplikowaną osobowością i aktorstwem dojrzałym. Doskonale warunki zewnętrzne i predyspozycje psychiczne aktorka wykorzystwała umiejętnie, tworząc dużą, ale niestety nie wielką, rolę z

grafa tworzącą czechowski nastrój „peknijętej struny”.

Janusz Mazanek, aktor o ogromnym doświadczeniu, grał rolę lokaja Firsza niezwykle prostymi środkami. Każde słowo, gest, charakterystyka — wypracowane w najdrobniejszych szczegółach — wypełniły wzruszający portret niepotrzebnego, starego człowieka. Jest to jedna z najlepszych ról tego świętego aktora, rola prawdziwie czechowska, rola, której się nie zapomni.

Niestety nie o wszystkich wykonawcach ról większych i małych można to powiedzieć. Czechow wymaga co naj-

potwierdzają to statystyki programowe wszystkich radiofonii świata. Programy muzyczne zajmują w nich ponad połowę czasu emisji. Także większość audycji słownych, nader rzadko obywateli się bez muzyki. Muzyka nie jest w nich jednak traktowana jako równorzędny partner. Używa się jej jako „wabika”, bądź też w charakterze tzw. przerywnika, najczęściej służy ona jako „opakowanie” różnych towarów (czytaj: tekstów), lub też jako niezbędna forma relaksu i odprężenia przed nadaniem kolejnych, ważniejszych treści programowych.

I chociaż muzyka dominuje w radu, to przecież radzi nim „słowo”, które nie darzy jej szczególnym respektem traktując muzykę jako... anonimową służebnicę. Nie wywołuje to w niej kompleksu niższości, bo przecież od niepamiętnych czasów funkcje ludyczne (zabawowe), dekoratywne i obrzędowe, a także ilustracyjne muzyki są tylko marginesem jej specyficznego oddziaływania na człowieka. Siła muzyki leży w tej szczególnej właściwości, która sprawia, że jest ona niezastąpionym źródłem jedynych w swoim rodzaju przeżyć estetycznych. Świadoma swojego znaczenia i roli, a także sympatii, jaka cieszy się u radiosłuchaczy, muzyka zachowuje w swoich ramach programowych względną autonomię spełniając dwa podstawowe zadania, jakimi są, po pierwsze: **zaspokajanie potrzeb słuchaczy w zakresie muzyki**, po drugie — **kształtowanie smaku artystycznego odbiorców**.

Radio stworzyło nigdy przedtem nieznaną możliwość dotarcia najlepszej muzyki w wykonaniu najwybitniejszych artystów dosłownie wszędzie. Jednakże na zasadzie swoistej dialektyki podstawowy atut radia, a mianowicie jego powszechna dostępność, kryje w sobie załączek i niebezpieczeństwo zniszczenia tego, co przy słuchaniu muzyki jest najważniejsze — mam na myśli spokój i pewien niezbędny stopień koncentracji uwagi. Radia słucha się przeważnie byle jak i byle gdzie, kolejne audycje sączą się z głośnika, jak woda z nieodkrytego kranu. Muzyka w radio słuchana w nieodpowiednich warunkach, bez odpowiedniego nastawienia, staje się własną karykaturą, synonimem meczącego hałasu.

Z drugiej strony — muzyka radiowa, słuchana na najlepszym nawet sprzęcie, z uwagą i zrozumieniem, zawsze będzie czymś wtórnym, zastępczym, ponieważ pozbawiona jest tak istotnego czynnika, jakim jest bezpośredni kontakt z wykonawcą. Te braki kompensuje radio stosowaniem coraz to nowszych udoskonalonych technicznych, pozwalających na dokonywanie nagrań zbliżonych do naturalnego brzmienia utworu, a nawet niekiedy je przewyższających.

W pierwszych latach powojennych w Łódzkiej Rozgłośni działali autorzy tej miary, co Karol Stronenger, Witold Rudziński, Mieczysław Drobnier, Hanna Wasalanka, a przede wszystkim niez-

poznany Bolesław Busiakiewicz, twórca niezmiernie popularnych „Zagadek muzycznych” (nadawanych od 1947 r.

późniejszych latach i są po dziś dzień mocną stroną programu muzycznego rozgłośni łódzkiej.

ZYGMUNT GZELLA

MUZYKA DLA WSZYSTKICH



ZYGMUNT GZELLA — docent PWSM, były kierownik redakcji muzycznej Rozgłośni, krytyk muzyczny.

ku do śmierci autora w r. 1971, kontynuowanych obecnie przez E. Dulskiego i wielu innych cykli audycji. Audycje słowno-muzyczne były także w

w świadomości przeciętnego słuchacza radiowego programu ogólnopolskiego rozgłośni łódzka kojarzy się — poza „Zagadkami muzycznymi” — przede

wszystkim z dwoma zespołami: Orkiestrą Mandolinistów Edwarda Ciukczy i Orkiestrą Polskiego Radia i Telewizji p.d. Henryka Debieha.

Orkiestra Mandolinistów to już zamknięta karta historii, wiążąca się niezerownie z osobą Edwarda Ciukczy, który kierował nią od 1945 roku do swej śmierci w r. 1970. Nie ma tu miejsca na najkrótszą choćby historię tego zespołu, który nie tak dawno należał do najbardziej popularnych w kraju, chciałbym jednak przypomnieć, że jeszcze w lutym 1969 roku Orkiestra Mandolinistów nagrała w Warszawie longplay, który stał się bestsellerem, osiągając pod względem wielkości nakładu błyskawicznie zresztą rozkupionego, drugie miejsce po głośnym naówczas zespole beatowym „No To Co”. Na miejsce Edwarda Ciukczy nowym dyrygentem zostaje mianowany długoletni koncertmistrz zespołu, Bronisław Hajn, doświadczony muzyk i aranżer, który czyni wiele wysiłków, żeby podnieść poziom artystyczny zespołu, co mu się zresztą udaje, pomimo systematycznego zmniejszania etatowego składu zespołu. Nie zdaje się to na wiele. „Młodzi gniewni” spece od modnej muzyki rozrywkowej w Warszawie uznają zespół mandolinistów za anachronizm i orkiestra zostaje ostatecznie w roku 1971 rozwiązana. Pozostało po niej kilka tysięcy nagrań, przechowywanych wstydliwie w fonotece.

Bardziej w swej polifonicznej repertuarowej rękawicy i elastycznej Orkiestra Łódzkiej Rozgłośni Polskiego Radia (założona w 1949 roku) uamieniała z roku na rok swą pozycję jednego z czołowych polskich zespołów wyspecjalizowanych w wykonywaniu muzyki rozrywkowej i popularnej. Przemianowana w r. 1967 na Orkiestrę Polskiego Radia i Telewizji odgrywa nie tylko ważną rolę w programach muzycznych tych instytucji, lecz także dzięki publicznym koncertom w Łodzi i innych miastach Polski, dzięki udziałowi w licznych imprezach krajowych i międzynarodowych, a zwłaszcza w festiwalach — stanowi istotny i ważny czynnik w tworzeniu kultury muzycznej w kraju.

Cecha charakterystyczną tej orkiestry jest jej uniwersalny charakter, wyrażający się w zdolności do przekształcania swej struktury dzięki czemu może występować jako całość („nowoczesna orkiestra estradowa”), jak i w miarę potrzeb — wyłączać mniejsze lub większe specjalistyczne formacje. Jak pogodzić wymagania współczesnego perfekcjonizmu, stosunkowo łatwo osiągalnego przy specjalizowaniu się w jednym tylko gatunku czy stylu muzycznym z wielostronnością repertuaru i różnorodnością zadań — oto niełatwy problem, rozwiązany przecież z jakże pięknym rezultatem w trudzie odczytanych prób „nagrań i koncertów” przez Henryka Debieha, dyrektora, współzałożyciela, od 1952 roku sprawującego nieprzerwanie kierownictwo artystyczne zespołu.

Foto. W. Parys

RADIO

... Runęli impetem szalonym
I doszli... I udał się szturm!
I sztandar swój, biało-czerwony,
Zatknęli na gruzach, wśród
chmur!
Czerwone maki na Monte
Cassino,
Zamiast rosy piły polską krew...
Po tych makach szedł żołnierz
i ginał,
Lecz silniejszy od śmierci był
gniew!...

To działo się 18 maja. Dokładnie o godzinie 9 minut 50. Zgasły ostatnie ognie pocisków, przestały zionąć ogniem szczytyny betonowych bunkrów, uciekły jazgot kaemów. Do ostatniego bastionu niemieckiej obrony, do białego klasztoru na wzgórzu wkraczali, czarni od dymu polscy żołnierze. Oni, ci z 12 pułku Ułanów Polskich, byli tam pierwsi, „i sztandar swój biało-czerwony, zatknęli na gruzach, wśród chmur!”.

Ale nie o przebiegu samej bitwy chciałbym opowiedzieć, lecz o pieśni, która zawsze przypominać będzie bohaterstwo polskiego żołnierza i jego krew przelaną na obcej ziemi; krew czerwona jak maki na Monte Cassino.

Wpierw jednak kilka słów na temat sytuacji, która poprzedziła zwycięstwo, choć jakże krwawy, szturm polskich jednostek z 2 Korpusu Polskich Sił Zbrojnych. Trzeba się przy tym cofnąć aż do początku 1944 roku, kiedy to 2 stycznia dowództwo 5 Armii Amerykańskiej otrzymało ze Sztabu Generalnego Wojsk Sprzymierzonych następujący rozkaz:

„Przeprowadzić jak najmocniejsze uderzenie na Cassino i Frosinone na krótko przed lądowaniem, aby stworzyć wyłom we froncie niemieckim. Przez który nastąpi połączenie z operacją morską”.

I tak oto rozpoczęła się jedna z najkrwawszych, nazwana „bitwą siedmiu narodów”, pięć miesięcy trwająca bitwa o wzgórze i klasztor Monte Cassino.

Jako pierwszy uderza 10 Korpus Armii Amerykańskiej. Bez skutku. Po dwóch dniach natarcie przeradza się w klęskę. Na stokach wzgórza pada ponad tysiąc żołnierzy, pięciuset zostaje rannych. Więc do następnego szturmowania Francuzi. Pada ich prawie półtora tysiąca. Teraz pobią Anglicy. Nacierają świetny pułk Royal Sussex. Kiedy ginie 142 żołnierz Anglicy rezygnują i wycofują się na pozycje wyjściowe. Tak kończy się pierwsza faza bitwy. 15 marca ruszają alianci do ponownego szturmowania. Idą do ataku Nowozelandczy i Hindusi. Walka jest zażarta, ale i tym razem hitlerowcy górują. Na polu bitwy pozostaje ponad 3.700 alianckich żołnierzy. I tak kończy się kolejna faza bitwy. 24 kwietnia pod Monte Cassino dociera 2 Korpus Polskich Sił Zbrojnych, który do tego momentu zajmował pozycje obronne nad rzeką Sangro. Polacy mają wykonać kolejne uderzenie. Już czwarte. 11 maja rozpoczyna się w dziejach 2 Korpusu najkrwawsza z bitew. Następuje pierwszy szturm, a potem drugi z 17 na 18 maja. Ten drugi — jest zwycięski.

Na jednym ze wzgórz otaczających Monte Cassino wznieśliśmy wojenny cmentarz. Spoczywa tam 1070 polskich żołnierzy i oficerów. A słowa wryte w kamieniu głoszą: **PRZECHODNI! POWIEDZ POLSCE ŻEŚMY POLEGLI WIERNI W JEJ SŁUŻBIE.**

...Przejdą lata i wieki przemina,
Pozostaną ślady dawnych dni!
I wszystkie maki na Monte Cassino
Czerwienie będą, bo z polskiej
wzrosną krwi!

Nie ma chyba wśród nas nikogo, kto by nie znalazł tej pieśni mówiącej o tamtych, odległych dniach polskiego żołnierza. Ale na pewno niewiele osób zna historię „Czerwonych maków”. Kto ją napisał? Kto skomponował muzykę? Jaka była jej geneza? Czy powstała, jak niekiedy się mówi — „w jakiś czas po bitwie”,

dy na mocy układu z 30 lipca 1941 roku powstawać zaczęły Polskie Siły Zbrojne w ZSRR, zgłosił się niezwłocznie do wojska. I znowu, jak dawniej, pisał piosenki, ale już żołnierskie, takie jak „Polskie serce”, czy „Droga do Warszawy”. Do niektórych sam komponował melodie, do innych — jego koledzy, zawodowi muzycy. Na kartach swoich wspomnień z tamtych lat odnotował m.in., że motywem do napisania „Polskiego serca” były słowa starszki Rosjanki, u której mieszkał we wsi Ługowaja i która często zwracała się do niego (gdy bronili jej niefortunne wnuczka przed karą chłosty):

TADEUSZ SZEWERA

CZERWONE MAKI



TADEUSZ SZEWERA — autor reportażu, redaktor audycji literackich. Wydał tom reportażu „O Szeperze, iwie czarnym i Wasach Reymonta” oraz antologię pieśni wojennych: „Niech wiatr ją poniesie”.

„O, mundur u was angielski, ale serce... polskie”; serce, które „zniosło wszystkie niedole i burze, i skrważyło się w bitwach nie raz! Polskie serce i w polskim mundurze, pozostanie i z nami, i w was!”.

Potem przyszedł 31 lipca 1942 roku i odejście Korpusu na Bliki Wschód. Wraz z wojskiem opuszczał granice Związku Radzieckiego także Feliks Konarski, późniejszy „piesniarz 2 Korpusu”. W Teheranie powstał niebawem Teatr Żołnierza Polskiego. Do zespołu wykonawców wszedł także Konarski. Od tej pory nie tylko pisał i komponował, ale również występował na estradzie. Repertuar miał coraz bogatszy, pisał coraz więcej piosenek. Przybywało ich w miarę, jak wydłużał się szlak bojowy polskiego żołnierza, który nie wiedział, że „Idzie do Polski drogą daleką, coraz bardziej odległą od Warszawy”.

Aż przyszedł rok 1944 i z nim front we Włoszech, a potem Monte Cassino. Teatr Żołnierza Polskiego

miał wówczas kwatery w Campobasso. Rozkaz dowództwa Korpusu nakazywał zespołowi aktorskiemu przebywać bez przerwy w różnych jednostkach wojskowych i dawać występy. Feliks Konarski nie miał czasu na tworzenie. Samochód teatralny kursował między jedną miejscowością a drugą, między jednym batalionem a drugim. Tylko 11 maja nikomu nie były w głowie przedstawienia. Ale po pierwszej bitwie znowu zespół wyruszył na swoje frontowe tournée. 17 maja, jak zwykle pojechał Teatr z Campobasso do strefy przyfrontowej. Tym razem przedstawienie odbywało się w Lucernie dla stacjonującej tam 23 Kompanii Transportowej. Tego samego dnia na Monte Cassino rozpałało się piekło. Ruszyło ostateczne natarcie.

Kiedy zespół Teatru wracał z Lucerny do Campobasso, bitwa o wzgórze była w pełnym toku. I wówczas... Ale oddajmy głos samemu Feliksowi Konarskiemu, który we wspomnieniach „Historia czerwonych maków” pod datą 17 maja, zanotował co następuje:

„... Wróciliśmy późnym wieczorem. Powroty z odcinków nie należały do przyjemności. Byłem pleklelnie zmęczony, ale nie mogłem zasnąć. Co chwila zbliżałem się do okna i patrzyłem na dalekie błyski artyleryjskiego ognia. Tam jest Monte Cassino. Tam dzieje się coś, czego jeszcze w tej chwili nie mogę objąć myślą. Wyczuwam tylko, że gdzieś pod tym białym pasmem rozwarło się piekło. (...) W dzień widziało się na zboczach maków. Teraz płonęło ono ogniem. A więc szturm! A więc i krew, a więc — i śmierć...”.

Pod wpływem tego wrażenia Feliks Konarski zaczął pisać. O trzeciej nad ranem obudził swego przyjaciela, kompozytora Alfreda Schütza, który w zespole teatralnym posługiwał się pseudonimem „Al Suito”. Przeczytał mu napisane dwie zwrotki i refren. Schütz usiadł do fortepianu. O wpół do piętej nad ranem pokazał Konarskiemu naszkicowaną melodię. Autor był nią zachwycony. Ale Schütz nie położył się spać. Nad utworem pracował do białego dnia. Tak narodził się początek „Czerwonych maków”.

„O 9 wyjechaliśmy całym zespołem aktorskim w kierunku Cassino” — wspomina Feliks Konarski pod datą 18 maja. — Zbliżając się do wyznaczonego nam odcinka, ujrzałem za przydrożnym rowem samotny grób żołnierski. Naprędcie sklecony krzyż, przewiązany białą taśmą, stał z lekką przekrzywioną. Pod krzyżem wiązanka maków w lusec od polsku. Pomyślałem sobie wtedy: ile nowych krzyży przybyło w ciągu tej majowej nocy? Wyjałem z kieszeni notes i w ciężarówce dopisałem trzecią zwrotkę.

Pierwsze wydanie „Czerwonych maków” w układzie na fortepian ukazało się jeszcze w czasie kampanii włoskiej w 1944 roku i było drukowane w Drukarni Polowej 2 Korpusu. 26 kwietnia 1946 roku nagrano pieśń na płyty, które wydano również we Włoszech. Ale wtedy „Czerwone maki” śpiewano już w Polsce i wszędzie tam, dokąd zawierucha wojenna zagnała Polaków. Taka jest historia pieśni o bohaterstwie i krwi polskiego żołnierza spod Monte Cassino; pieśni, która narodziła się w ogniu bitwy do wstrząsających dzieł.

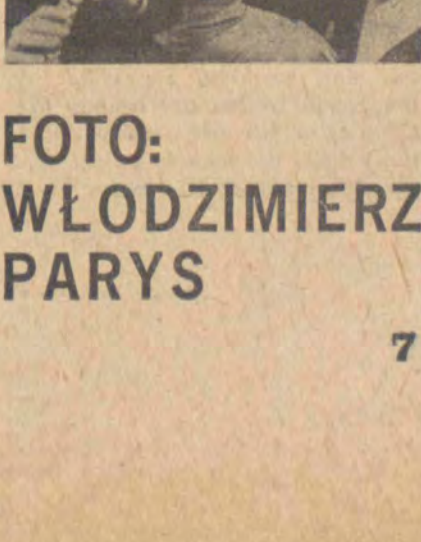


FOTO: WŁODZIMIERZ PARYS

KSIĄŻKA

TADEUSZ BŁĄŻEJEWSKI

DEMONOLOGIA WSPÓŁCZESNA

Krytyka literacka traktuje słuchowiska raczej po macoszemu, o radiowych adaptacjach znanych dzieł dramatycznych czy epickich pisze się u nas dość sporadycznie, rzadziej jeszcze o utworach, które powstały wyłącznie dla radia. A to w nich przecież słowo osiąga większą niż w druku nośność, ożywa, staje się istotnym sprawdzianem pisarskich umiejętności.

Dramaturgia radiowa jest wszakże ułotna, Wydawnictwa Radia i Telewizji zdecydowały się więc „ocalić” ciekawsze słuchowiska. W ramach tego przedsięwzięcia ukazał się ostatnio zbiór piętnastu słuchowisk Ireneusza

Iredyńskiego, znanego poety, prozaka i dramaturga.

Drastyczność towarzyszy twórczości Iredyńskiego przez cały czas: gdy jako siedemnastolatek debiutował w roku 1956, gdy jako programowy turpista polemizował swymi wierszami z Julianem Przybosiem, gdy opublikował młodzieńczo kontrowersyjny „Dzień oszusta”. Minęły lata, odpowiednikiem wieku męskiego stała się twórczość dojrzała, drastyczność pozostała. To ona domaga się, by mottem tej recenzji stały się słowa Kobiety I z tytułowego słuchowiska, słowa wzywające do refleksji, „... nim demony wyjeżdżą ci mózg i świat utonie w chaosie”. Demony, które opętały bohaterów

słuchowisk Iredyńskiego nie noszą tradycyjnych, magicznych imion — są to po prostu sprawy i Sprawy trapiące współczesne społeczeństwo. Składają się na nie problemy rozmaite, wciąż żywe na przykład pokłosie wojny, deprecjacja miłości i tragizm „jalowości pieczęci”, cienie małej stabilizacji i małego realizmu, są to również problemy przeciwstawne — pokonywanie konwencji, determinującej ludzkie zachowanie oraz nakładanie wymyślnej konwencji na codzienną nudę, ucieczka od rzeczywistości w sentymentalne kreacje (jakże często sentymentalizm ten jest nieodłącznym towarzyszem drastyczności!)

Demony współczesności szarpią wnętrza bohaterów Iredyńskiego z zaciekłością godną Mickiewiczowskich sów, puchaczy i kraków. Próby uwolnienia się od nich okazują się wysiłkiem daremnym: „Złazić z tapczanu. Po co obsiedliście mnie? Możecie nie zlażyć, i tak was nie ma na tapczanie. Najchętniej to bym was wyrzucił, ale siedzicie we mnie, mocno uciepleni pazurkami...”

Metafizyka w mikro-dramatach Iredyńskiego przeplata się z realiami zwykłego, codziennego bytowania, dialog Kobiety z Mężczyzną rozpisany został na różne środowiska (od przestępczych, poprzez drobnomiesz-

kańskie, urzędnicze, po aktorskie i piersarskie), w ten sposób słuchowiska tworzą wnikliwy przekrój problematyki typowej dla literatury polskiej ostatnich lat. „Demonizacja” pełni tu funkcję interesującego chwytu literackiego, stanowi subtelne nawiązanie do tradycji romantycznych, w tekstach autora „Głosów” znakomicie harmonizuje z realistycznymi ujęciami w stylu Marka Nowakowskiego (owo zainteresowanie „nieudacznikami” wywodzi się zapewne jeszcze z „turpistycznej” młodości Iredyńskiego).

System „demonologii współczesnej” wyłożony w zwartych, oszczędnych aż do ascezy, celnych traktatach dialogowych tym różni się od szkół tradycyjnych, iż potężnych sił, „czyhających na zgnębienie człowieka”, doszukuje się nie w powietrzu i na ziemi, nie w niebie i pod ziemią, ale właśnie w samym człowieku, uwikłanym w niepokojące nasze czasy, znerwicowanemu, zagubionemu w coraz bardziej przyspieszonym rytmie życia.

Słuchowiska Ireneusza Iredyńskiego dawno już znalazły uznanie, recenzowany zbiór opinii tę potwierdza, jest wydarzeniem literackim, godnym wnikliwej uwagi czytelników.

I. Iredyński, „Głosy”, Wydawnictwa Radia i Telewizji, Warszawa 1974, cena zł 27,-

DNI KULTURY WĘGERSKIEJ

Odwieczna, przysłowiowa niemal przyjaźń Polaków i Węgrów jest fenomenem, który wywołuje wzruszenie. Mimo ogromnej bariery językowej, mimo kulturalnej odrębności oba narody polubiły się serdecznie i związały te są wciąż żywe, a nawet, rzekłbym, silniejsze. Dzięki wyjazdom turystycznym nie brak wzajemnych, osobistych kontaktów, ale potrzebne jest także zapoznanie się z osiągnięciami gospodarczymi i społecznymi naszych krajów, z najnowszymi zjawiskami w kulturze i sztuce.

Toteż nie wymaga chyba uzasadnienia, dlaczego w czerwcu ubiegłego roku w komitacie Csongrád, nad Cisą, odbyły się trwające cały tydzień Dni Ziemi Łódzkiej i dlaczego obecnie obchodzą będziemy u nas Dni Kultury Węgierskiej. Scisłej „Dni Kultury Węgierskiej” Csongrád, które jest symbolem porozumienia o współpracy z województwem łódzkim. Ze zrozumieniem takie było potrzebne o tym świadczą najlepiej powodzenie tygodnia kultury polskiej nad Cisą i zainteresowanie, jakie wzbudziła u nas zapowiedź przyjazdu dużej, bo liczącej blisko 130 osób delegacji węgierskiej. Jej pobyt na Ziemi Łódzkiej zbliża się z ważną rocznicą trzydziestoletnia powstania Węgierskiej Republiki Ludowej, będzie to więc doskonała okazja do ukazania dorobku naszych przyjaciół w szerszej perspektywie. Tym bardziej, że wizyta ich będzie miała charakter nie tylko odświętny, ale także roboczy, służący bowiem będzie dalszemu zacieśnianiu kontaktów.

Program „Dni” jest bogaty i atrakcyjny zarazem. Pomyślany bowiem został tak, żeby nasi goście mogli przedstawić się możliwie wszechstronnie. Dość powiedzieć, że w 130-osobowej delegacji Węgrów znaleźli się realizatorzy filmowi i plastycy, muzycy i wokaliści, pretenzyjni modyści a nawet piłkarze, będzie więc okazja także do sportowej rywalizacji.

Nie sposób przedstawić cały program „Dni”, wymieniemy więc ważniejsze imprezy. W Łodzi i na Ziemi Łódzkiej: w Piotrkowie, Tomaszowie, Kutnie, Sieradzu, Łowiczu i Radomsku.

Tak więc miłośnicy plastyki będą mogli obejrzeć wystawę węgierskiego malarstwa i rzeźby w łódzkim Ośrodku Propagandy Sztuki. Mieszkańcy Pabianic obejrzą ekspozycję dorobku gospodarczego województwa Csongrád w XXX-lecie WRŁ, będą mogli także zapoznać się ze sztuką ludową i użytkową naszych gości. Zwraca także na siebie uwagę wystawa książki, która eksponowana będzie w Piotrkowie.

W tym samym mieście odbędą się dni filmu węgierskiego, podczas których w kinie „Hawana” prezentowane będą filmy fabularne i dokumentalne, które złożyły się na minifestiwal dorobku kinematografii węgierskiej.

Szczególnie bogaty jest program muzyczny dni, weźmie w nich bowiem udział zespół folklorystyczny, orkiestra kameralna, wreszcie zespół jazzowy. Duży, bo liczący 52 osoby zespół folklorystyczny wystąpi przed publicznością Radomska, Pabianic, Tomaszowa i Sieradza. Szczególnie staranną oprawę będą miały koncerty orkiestry kameralnej, które odbędą się w zabytkowym zamczku gotyckim w Oporowie, w salach Zamku Królewskiego w Piotrkowie, wreszcie w sali barokowej łowickiego Muzeum.

A przecież na uwagę zasługują także pokazy mody węgierskiej, mecze piłkarskie, kiermasze. A także spotkania środowiskowe filmowców i plastyków.

Życząc naszym gościom przyjemnego pobytu na Ziemi Łódzkiej wyrażamy przekonanie, że kontakty z nimi nie ograniczą się tylko do trwających tydzień Dni Kultury Węgierskiej, że ich pobyt zachowamy w pamięci, bo wszystko to służy dalszemu zbliżeniu naszych narodów.

Csongrád, tak brzmi nazwa komitatu (województwa), jednego z dziewiętnastu na Węgrzech. Komitat leży w południowo-wschodniej części Niziny Węgierskiej w dorzeczu trzech rzek: Cisy, Maros, Körös, granicząc jednocześnie z Jugosławią i Rumunią. Liczy 4.150 km kw., a pod względem gęstości zaludnienia — 450 tys. mieszkańców — znajduje się na 12 miejscu. Na terenie komitatu znajdują się 5 miast.

Csongrád — oznacza dużo słońca, wspaniałych kąpielisk leczniczych, smacznych brzoskwiń, świeżych nowalijek przez rok okrąży — pięknych kwiatów... Turyście przypomina on o historii tradycji węgierskiej, festiwalach operowych. Można również mówić bez końca o niezliczonych imprezach kulturalnych, zmianach i rozwoju gospodarczym tej części Węgier, o braci studenckiej, sztuce ludowej a nawet o supie rybnej, którą tutaj właśnie przyrządza się w niespotykany nigdzie sposób.

Nie znajdziemy tu niebotycznych gór czy wzbudających zachwyt starych zabytków. A jednak odrębność ziem csongrádzkiej uderza przybysza dziwnym urokiem. Wielka Nizina Węgierska, lany zbóż, pola winnic, mnóstwo sadów i wśród nich jakby od niechcenia rzucone malarskim pędzlem malownicze zagrody, białe malowane domki otoczone najczęściej topolami, które jakby strzegą ciszy i spokoju ich mieszkańców. I to słońce — 2.000 słoneczno-godzin w roku — podstawowe bogactwo tej ziemi jak i nieprzebrane ilości gorących źródeł leczniczych.

Jadąc międzynarodową trasą E-5 mijamy pełne czaru krajobrazy. Oto Białe Jezioro — rezerwat płatwa a zarazem w części wielkie gospodarstwo rybne. Tu, nad jego brzegami w rybackiej czardzie, przy dźwiękach cygańskiej orkiestry można zjeść parę typowych potraw rybnych. Od czegoż by zacząć? Od skwarków rybnych na przykład, paprykarza z rybnym, zupy rybnej czy ryby z rożna. To nie, że ostrość potraw wycisnie łyżę z oczu nieprzyzwyczajonego Polaka — biały chleb i lekkie białe wino z tych okolic pomogą przejść z godnością ten pierwszy kulinarny chrzest bojowy.

A dalej — miasto Szeged (czyt. Sedged), stolica komitatu. Badania archeologiczne dowodzą śladów życia na tych terenach jeszcze w okresie przedhistorycznym. Niestety, 130-letnie panowanie Turków na szegedzkim zamku, wielka powódź z końca XIX wieku (1879) poczyniły niemałe spustoszenia.

Z XII wieku zachował się jedynie baran kamienny i wieża Dymitra w stylu romańskim. Zdawaloby się, że niewielka ilość zachowanych zabytków

przekreśli, znaczenie historyczne miasta. A jednak wielkie wydarzenia mające niekiedy wpływ na losy kraju znajdowały tu swój początek. Tu zbierał oddziały do walk Hunyadi, stąd wyruszyła piechota Rákócziego przeciw panowaniu cesarskiemu, tu w czasie Wiosny Ludów zwracał się Kossuth do mieszkańców miasta słowami: „Ludu Szegedu, dumo narodu węgierskiego”.

Karty historii związanej z miastem mają też swe ciemne strony. W 1728 roku, po raz ostatni w Europie spalono tu na stosie 13 czarownic. Również kłeska powodzi nawiedziła to miasto. Ponad 6 tysięcy domów legło w ruinie — pozostało ich zaledwie trzysta!

Dziś, tętniące życiem miasto słońca zmieniło swe oblicze. Powstają nowoczesne dzielnice mieszkaniowe, rozwija się przemysł nad wybrzeżami Cisy rozciągającej się na dwie części — przemysł lekkiej a zwłaszcza tekstylny. Zbudowano tu także ogromne zakłady

Nowy Szeged, Szeged odmłodzony, Szeged centrum kultury i nauki. Wszak tu żył wybitny pisarz Ferenc Móra, Gyula Juhász, Zsigmond Móricz, tu tworzył, bestialsko zamordowany przez faszystów Miklós Rádnóti i tu studiował tragicznie zmarły Attila József — którego imię nosi miejscowy uniwersytet. Dziś młode pokolenie pisarzy pomyślnie kontynuuje tradycje wielkich poprzedników. Gábor Mocsár, Béla Tóth, Mihály Simai czy Sándor Wörös to tylko parę nazwisk z tej grupy twórców. Wspomnieć też należy o plastykach, których prace wystawia się nie tylko w kraju ale i poza granicami. László Vinkler — znany portrecista, Antal Tápai — rzeźbiarz, Sándor Fontos, József Pintér, Mihály Cs. Pataj, czy poszukujący nowych rozwiązań w sztuce László Zombori, István Dér, Ferenc Pataki, János Hemmert, Arpad Szűcs, Margit Kovacs...

Uniwersytet im. József Atilla przeniesiony tu został w 1921 roku z Ko-

rolnictwie to nie zapominajmy o „węgierskiej stolicy cebuli” 30 tysięcznym miasteczku Makó, leżącym nad rzeką Maros. Ale i ta miejscowość zmieniła po wyzwoleniu swe oblicze. Zakłady urządzeń sanitarnych czy fabryka maszyn zapewniają dziś pracę setkom robotników, którzy znajdują odpoczynek na pięknej plaży nad rzeką.

Przemysł wkroczył też i do Szentes, raj rybaków i myśliwych polujących na bażanty i sarenki w lasach nad Cisą czy Körös. Równie słynne są wyroby ludowe z czarnej ceramiki z Szentes — miasta kwiatów. Stąd spóźniej produkcyjne wysyłają na eksport goździki przynoszące 6 milionów forintów rocznie. Stąd, dostając się do rąk przez okrągły rok dostarczają na rynki krajowe i zagraniczne świeże nowalijki.

Tak Makó jak i Szentes mogą pochwycić się bogatą tradycją ruchów robotniczych. Kiedyś te okolice były nazywane „zakątkiem burz” i tak przeszły do historii. Wspaniały odpoczynek oferuje ciche i uroczne miasteczko Csongrád, od którego pochodzi nazwa komitatu. Pełne nastroju, ściga ludzi kochających sport i kąpiel.

W wędrowce po komitacie nie sposób pominąć ważnego ośrodka przemysłu, kultury i sztuki ludowej — 50-tysięcznego Hódmezővásárhely. Wyroby dziewiarskie produkowane tu w nowoczesnych zakładach eksportuje się do pięćdziesięciu krajów. Osobliwość zaś tego miasta stanowi supernowoczesna fabryka porcelany o produkcji rocznej 3.000 ton porcelany gospodarczej, ogromnej produkcji kafelków, płytek podłogowych i urządzeń sanitarnych. Zaledwie parę lat temu położono ją ze starą, opartą na manufakturze fabrykę majoliki. Jeszcze dziś artyści-garnarze pracują tu przekazując swą wiedzę młodszemu pokoleniu. Wyroby ludowej sztuki użytkowej — talerze, wazonny, czy też wzbudzające podziw haftu rozstawiły miasto na cały świat. W żadnym przypadku nie należy pominąć sławnego Muzeum Tornyai, w którym rokrocznie spotykają się plastycy z całego kraju na jesiennej wystawie. Tornyai. Pásztor — to malarze, którzy dali początek progresywnemu realizmowi węgierskiej malarstwa. Obecnie tradycje te są kontynuowane przez ich następców. W kraju nie mówi się inaczej o nich jak „Szkoła z Vásárhely”. Niedaleko miasta, w plenerze nad odległym w czasie regulacji zakolu Cisy tworzą Ferenc Szalay, Ferenc Hézős czy Katalin Samu, utrwalać dla potomności życie chłopów i piękno krajobrazu ziemi csongrádzkiej.

MARIA HEMMERT

CSONGRÁD — ZIEMIA SŁOŃCA

chemiczne. Jest tu też jedyna na Węgrzech fabryka salamii Piek, czy przetwórstwo papryki. Stąd właśnie sproszkowana papryka trafia i na nasz rynek.

W upalne lato, kiedy trwają Dni Szegedu, w olbrzymim amfiteatrze odbywa się festiwal operowy. 6200 miejsc, morze głów. Kurantowy zegar oznajmia rozpoczęcie przedstawienia. I już pierwsze takti znanych oper Verdiego czy Pucciniego lub narodowych, np. Erkela. Bogactwo barw, soliści o światowej sławie i tummy statystów na przegromnej scenie. Na scenie tej dyrygował „Joannę na stole” Honcgera, Henryk Czyż, tu śpiewała z ogromnym sukcesem Delfina Ambroziak, tu też występowały Mazowsze i Śląsk. Do późnych godzin nocnych trwa festiwalowy nastrój. Po skończonym przedstawieniu zapelniają się czardy, restauracje i rozpoczyna się królestwo cygańskich orkiestr. Szumią płatany, płynię wino, a kwiatciarki sprzedają wiązanki róż.

lozsvár. Tu rozpoczął swą pracę jedyny naukowiec tej uczelni, któremu w 1937 roku przyznano nagrodę Nobla — Albert Szent-Györgyi, biochemik, który uzyskał z papryki witaminę C. W Szegedzie znajduje się Oddział Cybernetyki Węgierskiej Akademii Nauk założony i prowadzony do dziś przez znanego matematyka prof. László Kalmara, a dwa lata temu oddano do użytku Centralny Instytut Biologii WAN. To sam Szeged, a co ziemia csongradzka, która do wyzwolenia miała wybitnie rolniczy charakter.

Dziś, odkryto tu bogate złoża ropy naftowej i gazu ziemnego. Ogromne zasoby gorących źródeł uwarunkowały profil upraw rolnych. Prócz pszenicy, buraka cukrowego znane są na Węgrzech wysokie wyniki osiągane w sadownictwie i uprawie warzyw. Tutaj w wielkoprzemysłowej gospodarce rolnej, spółdzielniach produkcyjnych i państwowych gospodarstwach rolnych znajdują się kilkudziesięciogektarowe nowoczesne cieplarnie. Skoro mowa o

Mihály Simai

BLISKOŚĆ ZIMY

Pamięci Matki

Bliskość zimy przeczuła oddechem grobów
pośród drzew osłupiałych gdzie
cień legł którego nie dostrzec
chłód przed którym nic nie osłoni

konduktem włoką się za tobą moje wspomnienia
śnieżyca zaciska się na nich lodową obręczą
i bierze w posiadanie niebo nieczułe na barwy
jak kaftan wypłowił którego nikt nie chce

nawet ty tego mamu nie potrafisz zmienić
że cię tu nie ma gdy ja pośród żywych
i kto jest w prawie zabronić nam czekać
na śnieg różowy na śnieg kwiatów wiśni

i skoro wiosna odmianę przynosi
ja też zmienię wszystko i znowu będziemy

Przełożył:
Konrad Frejdlich

Bela Tóth
KWIAT

ona wytworem węgierskiej ziemi. Specjalista jednak wie, że właśnie z tego względu na prastary jej charakter znalazła się w klimacie tropikalnym, w Wokdze, Dunaju i nad innymi wodami, gdzie żyją ryby.

Tam natomiast, gdzie Cisa rozdziela na połowę nizinne tereny, gdzie wody rzeki są pieszczone przez wysokie brzozi lessowe, tam odnalazła ona swoje prawdziwe siedlisko. Tu więc wylega się ona, tu zrywa do swego krótkotrwałego życia motylego, tu też ona wędnie.

W czasie godów, zapłodnione jajka rozsypane w wodzie opadają na dno, gdzie po upływie czterech do sześciu tygodni wylegają się z nich larwy. W czasie dwu do trzech lat na dzień rzeki lub w lessowych brzegach wierać sobie one siedziby. W niektórych miejscach strome brzozi Cisy wyglądają jak podziurawiony, przegromny plaster miodu, a to z powodu wywierconych i następnie porzuconych przez jętkę pomieszczeń. Z chwilą opadania wód przenosi się także i larwa. Nie może się przecież oderwać od wody zapewniającej jej warunki do życia. Kiedy człowiek może oglądać pełne drobnych otworków ściany lessowe wybrzeży, są one już puste, niezamieszkałe.

Ostatni etap życia larwy w czasie wspomnianych godów, kiedy jętka jest dojrzała i już gotowa do podtrzymania gatunku — jak to podkreślają obserwacje przeprowadzone przez naukowców — zależy od współdziałania wielu czynników.

Trwający długo stan larwowy specjalista tłumaczy bardzo zastanawiająco. Jętka od pradawnych czasów należała do drapieżnych owadów, ale silniejsze gatunki zmusiły ją do zejścia pod wodę. Tu warunki życia były trudniejsze (brak powietrza, brak słońca, gorsze możliwości zdobycia pokarmu). One to uwarunkowały przedłużenie okresu ich rozwoju do dwóch — trzech lat. W tym też czasie co najmniej dwadzieścia razy liniują, przemieniając się w poczwarki.

Ostatnie zrzucone skóry następuje już nad wodą. Bładoniebieskie, wyzwoleone z powłoki skrzydełka o kolo-

K. F.

TISZATAJ

Czasopismo „TISZATAJ” wchodzi obecnie w 29 rok istnienia. Jest to najstarsze pismo literackie na Węgrzech. Ukazuje się ono od marca 1947 roku. Poprzednikiem pisma był miesięcznik „Delvidéki Szemle”.

Przez cały czas naszej pracy staraliśmy się realizować najważniejsze założenia postawione sobie w chwili zakładania pisma: rozszerzyć na cały kraj nasze działania i przybliżyć czytelnikom literaturę krajów socjalistycznych. Prezentujemy więc systematycznie nowości literatury rumuńskiej, słowackiej, serbskiej i polskiej. Zwrócićmy też uwagę na literaturę naszych pokrewnych językowo narodów, czego dowodem jest chociażby oddzielny numer naszego czasopisma (1972, luty) poświęcony całkowicie kulturze fińskiej.

Współpracują z nami pisarze z Siedmiogrodu, Wojewodiny czy Słowacji, tłumacząc utwory z języka rumuńskiego, serbskiego i słowackiego. Sądzą, że służy to dobrze braterskiemu zbliżeniu się i lepszemu poznaniu.

Dążeniem zespołu redakcyjnego „Tiszataj” jest nie zamykać się w małym światku. Starania nasze nie pozostały bez rezultatów. W ciągu ostatnich lat drukowaliśmy kilka rozdziałów z autobiografii László Nemetha, nowe wiersze i eseje Gyulii Illyesa, które po raz pierwszy uodostępnił nam nasz czytelnikom, a także prace młodych, zdolnych przedstawicieli literatury, jak np. Sandora Csóori, László Nagya, Istvána Kormosa i innych.

Wiele miejsca zapewniamy na łamach naszego pisma miejscowym pisarzom: Gaborowi Mocsarowi, Beli Tothowi, Mihályowi Simai.

Na naszych łamach drukowaliśmy też sztukę Tamasi „Stare pocieszenie”, oddziałki nie publikowanego dramatu Imre Sarkadi, nowy dramat Györgya Szaraza pt. „Smierć doskonała”, który został następnie wystawiony w Teatrze Zamkowym w Gyula, transmitowany przez telewizję okazał się wielkim sukcesem autora. Zamieściliśmy także dramat „József i rodzeństwo” napisany przez László Nemetha. Publikowaliśmy sztukę Zoltána Jekelya.

Literaturę piękną będziemy nadal czerpać z całej węgierskiej literatury. Chcemy szczególnie zwrócić uwagę na główne kierunki jej rozwoju, zamieszczać oceny i recenzje najważniejszych dzieł literatury, nie zapominając i o powojennych węgierskich, pojawiających się za granicami naszego kraju. Wszak i tam żyją, tworzą i wydają swe utwory w języku ojczystym nasi rodacy. Zobowiązujemy nas do tego stosunkowo dawnej i długotrwałej tradycji związanej z wydawaniem naszego czasopisma.

JÓZSEF ANNUS

Sándor Weores

LIST DO SZEGEDU

Gdzie Marosz z Ciszą się spleta, na kształt lodu sitowia wiotkich, w mieście Szeged sto tysięcy ludzi zjednoczonych miłością i marzeniem.

Choć brak mi ciężarów, to się jej wyrzekam, za marzenie, choćby nie spełnione, żeby przez gęstwinę sitowia zieloną patrzeć z brzegu na gęstwinę wody.

Za miłość wyrzekłem się już dawno mych owiec i tylko po niebie płynie barka ciężka od baranich chmur. Pasterz ją popędza, południowy wiatr.

I na szczytach wieży obraca się lekko córka kupca zmieniona w blaszany karpia, ta sama, co z bojaźni przed ludźmi, mieszka dotąd w sitowiu pośród piany wodnej.

Miska Ilia, przyjacielu, czy mi nie możesz powiedzieć, skąd jest tyle sily w splotach wiotkich lodu? Dziękuję za koszyki, które przysłał z Tape, wplecione rękami twojej dobrej matki.

Przełożył:
KONRAD FREJDLICH

CISY

W rzech tęczy wyprostowują się do lotu. Wtedy drzy przed nami szczupły samiec jętki przygotowujący się do godów. Cytrynowożółty, z czarnym paskiem na grzbiecie w pierwszej próbie lotu ślizga się po wodzie delikatnie muskając jej powierzchnię odwołaniem.

Z chwilą, kiedy dzień już zbliża się do szychy a słoneczne promienie pod ostrym kątem uderzają wodę, samce grupują się powoli na środku rzeki odlatując od brzegów. Lot ich się ożywia, z podnieceniem oczekują coraz bardziej spóźniających się narzeczonych. A kiedy, jakby na zawołanie, pojawiają się drobne, szare samiczki w swoich prostych strojach — zaczynają się tany. Tłumy milionowych kłębow wymieszanych w szale tańca na przestrzeni paru kilometrów. Do słownie jakby w śnieżycy zimowej — przedziera się człowiek płynący łódką, nie widząc nic i nikogo w odległości metrowej. Tylko będąc na wodzie można usłyszeć delikatny szepc ich skrzydeł, szepc podniecenia — z brzegu nie słychać nie usłyszy się niczego. Samce, lecąc pod prąd wody spieszenie poszu-

kują swych partnerek, samiczki zaś, podniosły się nieco wyżej, oczekują spełnienia. Cisa kwitnie.

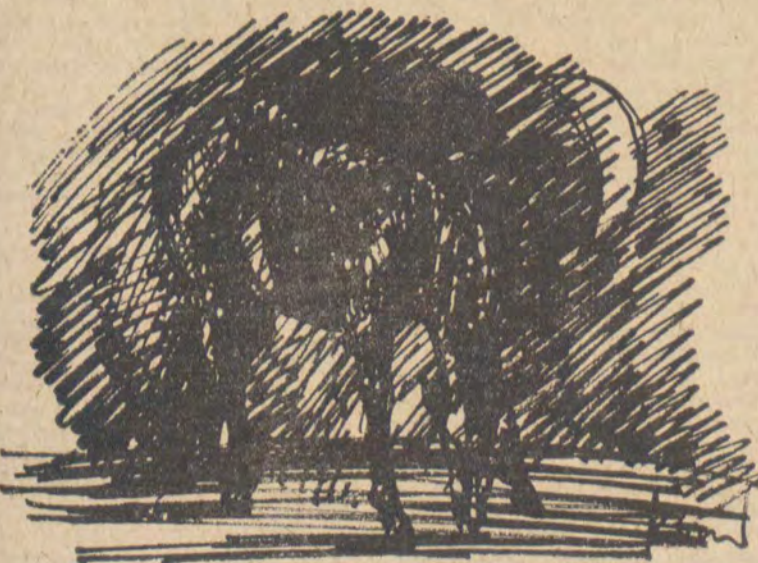
Narzuca się tu wzmianka z notatek nurka z dziewiętnastego wieku, László Gorove:

„Rybak głębinowy w czasie pracy na Cisie może się poruszać tylko wtedy, gdy jest w posiadaniu sieci. Bo jętki, gdy poczują jego obecność, o-puszczają swe siedziby, a ryby wypływają na powierzchnię wody, by nakarmić się zdechłymi jętkami. Płotki i inne ryby rzucają się za ulatującymi jętkami i tak chciwie je przelatykają jak wyżeł z dala rzucone mięso”.

Samiczki spieszą w górę ulatując w powietrzu, samce podążają zaś za nimi. Wybranek obejmują od spodu swymi odwołkami a długimi, przednimi nóżkami przyciskają do siebie główkę samiczki. W objęciach wiszą w powietrzu i płyną razem jeszcze parę metrów, następnie spadają do wody. Samiec w ten sposób poddaje się zagładzie. Samica spieszy dalej, zapłodnione jajeczka rozrzucając do rzeki, bo i jej przeleż pozostało już niewiele minut życia. Powierzchnia wody jest pełna wirujących, niezją-cych motyli podobnych do ptaków kwiatów. Jeszcze niedawne łożo godowe zamieniło się w cmentarzysko. W głębinie zaczyna się nowe życie. Zapotopione na dnie jajeczka chronią przyszość.

Cisa przekwitła.

(fragment)



Rys. Jozsef Fodor

Jeśli przykładowo powiem: made in Hungary, ciekaw jestem co się panu łączy z tym pojęciem?

Made in Hungary? Nie wiem, może to, że... wytwory węgierskie. Węgierska produkcja. Właśnie coś takiego...

— Dziwne to, ale zawiódłem się na panu. Mile oczywiście, ale dlaczego? Parę dni temu podobne pytanie postawiłem swoim uczniom. I co pan myśli, jaką otrzymałem odpowiedź? Chóralną, mój panie chóralną! Festiwal piosenki rozrywkowej! W Székesfehérvár. Dwudziestego sierpnia. Tak odpowiedział.

— Hm, interesujące.
— Tak, i wiele mówiące...

Nie byliśmy w stanie ciągnąć dalej tak pouczająco zapowiadającej się dyskusji, gdyż za naszymi plecami przy bufencie powstało pewne zamieszanie. Odwróciłem się w tę stronę. Jakis wysoki, siwiejący mężczyzna rozsiadł się na całego mocował się z mizernej postury człowieczkiem. Przyczyna konfliktu — którego i przebieg, sądząc z różnicy siły ani na moment nie ulegał wątpliwości — wkrótce się wyjaśniła, bo srogi mężczyzna trzymając mocno za kołnierza swego chuderlawego przeciwnika z zajadłym gniewem wrzeszczał:

— Ty śmieciarzu jeden... Nachlałeś się mego piwa... Co z ciebie za człowiek... jak masz czelność ruszać moje piwo? — Słowa padały jeszcze cięższe, ale to zostawmy już sobie.

— Nauczyciel biologii odwrócił się od niemilego widoku. — To też dośty typowe. — Już nawet nie pamiętam kiedy byłem świadkiem czegoś podobnego. Dawniej, zdaje mi się było to dość nagminne, że wykołejona jednostka albo po prostu zwykły dziać podzerał obcemu gościowi potrawę, ba, pluł niekiedy dla obrzydzenia do talerza i postawione w ten sposób jedzenie wciął aż mu się uszy trzęsły.

— W tym momencie chudy winowajca zmykał już chyłkiem obok nas z głową wciągniętą w kark. Węz do bijatyki jednak nie doszło. Można było to wnieść z tego, że gość o surowym wyrazie twarzy sparaliżowany jakby, dość bezradnie spoglądał za uciekającym cherlakiem. Sam zapewne nie wiedział jak należy postępować w takim właśnie przypadku.

— No proszę — wykrzyknął — i pełnym zaskoczenia wzrokiem powiódł po niespecjalnie zdziwionych bywalcach knajpy Boszorkány. — Co za nikczemność! — Coś takiego nie spotkało mnie nigdy — i podparłszy się pod bokiem nadal z niedowierzaniem kręcił głową.

A tymczasem nękczemy chudeusz znalazł się już na ulicy. Jego chwytne kroki, kiedy defilował przed oknami sięgającymi ziemi nie pozostawiały żadnej wątpliwości co do jego stanu.

Właściwie to znam tę osobę. — Nauczyciel biologii wskazał ręką za oddalającym się i zamoczył usta w swojej szklance. Opróżniwszy ją do połowy mówił dalej. — Swego czasu był on świetnym treserem papugi i kanarówek. Niestety, dlaczego wykołejł się aż tak dalece, tego nie potrafię panu wytłumaczyć.

— Treser papug? Jak? — dziwne zawody są na świecie! — Lymałem nieco piwa. Dokładnie dwa łyki. — A w ogóle jak to jest?

— Tresowanie ptaków? Naturalnie, tresowanie przez gwizdanie. Jeżeli na przykład chce pan ptaka nauczyć jakiejś melodii, to tak długo musi ją pan wygwizdywać, aż ptak zacznie pana naśladować. Właściwie zarówno papuga jak i kanarek to wyjątkowo zdolne ptaki. Chociaż i wśród nich spotyka się także beztalentia, powiedziałbym nawet dyletantów.

— Beztalencja? Jak to, bez talentu? — Podobnie jak wśród ludzi. Można niejednemu gwizdać aż do zachrypnięcia a on nic, nawet za Panem Bogiem nie jest skłonny do gwizdania, tylko ciągnie swoją śpiewkę. Nawet wśród najinteligentniejszych ptaszek trafiają się i takie. Tylko, że ten typ — tu skinał głową w stronę, w której zniknął winowajca — wynalazł specjalną metodę, by oddane mu pod opiekę ptaki szybko i łatwo nauczyć śpiewania. Pięknie i zrozumiale.

— Aha! Ptasia szkoła! Niezmiernie byłbym ciekaw...

— ...Jak wygląda nauka w ptasiej szkole? Chętnie panu to wytłumaczę, gdyż miałem okazję być świadkiem jej funkcjonowania. Wiadomo było powszechnie, że po ukończeniu ptasiej szkoły u tego tresera, każdy kanarek, każda papuga donośnie i przepięknie wyświadczy wyjątkowo melodyjny marsz Rakociego, a właściwie pierwsze jego taktę. Jaką on miał metodę. Ogromnie prostą. Ptaki, a właściwie klatki z nimi rozwieszal wokół ścian sali lekcyjnej. On zaś sam nabił ugotowaną, apetyczną marchew na widelec i przechadzał się z nią przed klatkami. Ślepka jego podopiecznych były oczywiście zwrócone na marchew. I wtedy zaczynało się. Gwizdał pierwsze, powszechnie zna-



Rys. Jozsef Fodor

ne taktę marsza Rakociego: „ślepy frajer, ślepy frajer, ślepy — ślepy — ślepy”. I tak bez końca, póki uwaga ptaków nie zaczęła się skupiać na melodii. Utalentowane ptaszko albo co jest bardziej zrozumiałe, kujon — podlizywał zaczął swe trele, swe gwizdanie. A wtedy treser, o którym nie potrafiłbym powiedzieć dlaczego, wykołejł się do tego stopnia, że wypijał cudze piwa, wsadzał do klatki, między pręty ugotowaną marchew. To była premia.

— Aha! Zaczynam już rozumieć. Rzeczywiście dowcipna metoda: jeżeli ciągniesz moją śpiewkę, otrzymasz marchewkę. Jeżeli nie, nie należy ci się nic.

— Jak widzę zaczyna pan już pojmować istotę sprytniej metody tresera. Metoda dobrze sprawdzona. Było pewne, że ptaki oddane w jego ręce — a mogły to być papugi, kanarki czy też sówki albo jakieś inne gilotowe bo te również są podatne do uczenia, predko sobie przyswoją podsuwane taktę marsza. Oczywiście, trzeba wiedzieć co taki ptak najchętniej zjada, czym zachęcić go można do gwizdania. W tym przypadku, prawda, mowa była o marchewce.

— Wsadzał ją przez pręty klatki i wtedy ptak...

— Dokładnie tak. Dzielnie kawalek marchwi. I odruchowo się przyzwyczaja, że po powtórzeniu usłyszanej wcześniej melodii zasłuży na resztę przysmaku. A potem już bez przerwy — śpiewa, śpiewa...

— Przepraszam, jeżeli dobrze pamiętam, wspominał pan o tym, że są

Gábor Mocsár

PTASIA SZKOŁA

też jednostki mało zdolne, które zawsze tylko wyśpiewują własne melodii. Patrząc na nie...

— O, przepraszam — nauczyciel biologii poczuł nagłe pragnienie, a odstawiwszy próżny kufel — ja poszedłem w jego ślady — mówił dalej.

— Wiem o co chce pan spytać. Węz proszę. W stosunku do tych ptaków metoda była całkiem inna. Czarna chusta.

— Czarna chusta? Czyżby kara?

— Można to powiedzieć i tak. Bo co się dzieje wtedy z ptakiem w klatce przysłoniętej czarną chustą. Śmiertelnie się nudzi w tych ciemnościach. Chętnie by się troszeczkę zdrzemnął, ale jest to niemożliwe w tak wielkim zgiełku. Zmuszony jest wstuchiwać się nieustannie w hałas z zewnątrz. I w końcu nieoczekiwanie zaśpiewa. Włączy się do orkiestry. I powtarza już: „ślepy frajer, ślepy frajer, ślepy — ślepy — ślepy”. I co daje dobry Bóg? Czarna załona się zrywa, treser wsadza do klatki ugotowaną marchewkę i najgłupszy ptak orientując się już co trzeba uczynić aby z pojawieniem się światła otrzymać pożądaną jarzynkę. Albo siemię lniane, albo jeszcze inny ulubiony smakołyk.

— Rzeczywiście, metoda doskonała. Natomiast ten kufel...

— ...Jest już pusty. Nauczyciel zaśmiał się. — No cóż, bywa i tak. Nie mamy innego wyjścia...

Stanęliśmy więc w kolejce do kasy. Mój rozmówca wcześniej powrócił do

naszych miejsc przy stoliku. Pomachał mi wesoło ręką i gościnnym gestem zaprosił.

— Jak to dobrze, że przerwałem na chwilę naszą rozmowę? Czy pan wie, że w momencie, kiedy pełny kufel wzięłem do ręki, przypomniała mi się natchniami przyczyna wykołejenia się tego tresera! — Mocno postawił kufel na stole. Boże, Boże — powiedział — wypil — ja poszedłem w jego ślady, a on po paru łykach znów mówił:

— Nie uwierzy pan temu! Treser jest ofiarą swego zawodu!

— Ależ przecież — odezwał się rzeżko i pełen zdumienia, bo wiedziałem, że żywe zainteresowanie pobudzi nauczyciela biologii do kontynuowania opowieści — ależ przecież tresura ptaków jest naprawdę spokojnym zajęciem, jakież może kryć się w niej niebezpieczeństwo? Według mnie nie ma tu nic groźnego.

— Nie ma? Więc proszę posłuchać. Wiele przeszkolonych w ten sposób ptaków śpiewało doskonale marsza Rakociego, ale o to nagle właściciele zaczęli przynosić z powrotem tresowanych śpiewaków...

— Śle śpiewały? W ramach reklamacji?

— Wspaniale gwizdały! Z marszem Rakociego kłopotów żadnych nie miały. To w przeciwnieństwie do nich nudziło się właścicielom. Wysłuchiwali bez przerwy — od rana do wieczora — a także i nocą: „ślepy frajer, ślepy frajer, ślepy — ślepy — ślepy...” Dlatego też przynosili swe ptaki do szkoły, by treser wyrzucił ich jakiejś nowej melodii. Ot, choćby: „Rzadki jęczmień, rzadki jęczmień, rzadkie żyto”. Byli i tacy, którzy chętnie posłuchaliby melodii operetkowych, jak np. Hajmási Péter, Hajmási Pal, bo im na mózg uderzał ten stale słyszany: „ślepy frajer, ślepy frajer, ślepy — ślepy — ślepy...”

— No i co? Zapewne i tego je wyuczył. Ta sama metoda. Bo jeżeli zajmował się tym zawodowo, to samo przez się rozumie, że...

Nauczyciel biologii nieoczekiwanie ożywił się w tym momencie i gestykulując wymownie rękami zaprotestował energicznie.

— Proszę dalej nie mówić. Wiedziałem, że pan nie uwierzy. Zrozumieć to trudno. Tu tkwi tajemnica. Nie uwierzy pan: ten treser dlatego uczył marsza Rakociego, bo nie umiał sam niczego innego. Nie miał słuchu, rozumie pan wreszcie? Tej jednej, jedynej melodii wyuczył się po wielu mękach. Kiedy właściciele po kolejnym przeszkoleniu zabierali swoje ptaszki do domu, nie mogli rozróżnić w ich świergotcie żadnej znanej melodii. Gwizdały, świstały, śpiewały bez składu i ładu. I w tym właśnie był cały kłopot. Oczywiście, właściciele nie powierzały już więcej swych ptaków treserowi. Odnosili je do innych, którzy nie tylko jedną, ale wiele melodii potrafili jako tako zagwizdać. Tak się zaczęło. Od tego czasu nasz przestawny treser zszedł na dziady. A, że żadnego porządnego zawodu się nigdy nie wyuczył, od małego dziecka tylko ptaki, ptaki... powoli spadał niżej i niżej. A właściwie to pan widział.

Oczywiście że widziałem. Zamysliłem się głęboko nad tym, co usłyszałem. Kufel stanowczo uderzył o blat stołu.

— Ach — odezwał się mój towarzysz — zapomniałem już nad czym zastanawialiśmy się w chwili kiedy incydent ze złodziejem piwa przeszkodził nam w dyskusji.

Przypomniałem sobie.

— O jakimś festiwalu piosenki rozrywkowej.

I rozpoczęliśmy znów rozmowę o festiwalu piosenki rozrywkowej, który czyż nie prawda, nosi nazwę Made in Hungary.

ANATOMIA ZBRODNI (VIII)

ANDRZEJ BLAJER

ZAMASKOWANY ZAMACH STANU

„Podczas całego śledztwa Komisja nie znalazła żadnego dowodu spisku, próby przewrotu, czy nielegalności wobec rządu Stanów Zjednoczonych ze strony władz federalnych, stanowych czy lokalnych”.

— Z raportu Warrena, konkluzja nr 10 —

O ewentualności spisku politycznego mówiono właściwie od dnia śmierci Johna Kennedy'ego, a jednak nikt nie potrafił znaleźć nawet poszlak wskazujących, iż przedstawiciele władz mieli coś wspólnego z tą sprawą. Owszem, mówiło się o spisku ze strony ugrupowań ultrapravicowych w Dallas (gen. Walker), mafii Jacka Ruby'ego, o sprzyśnięciu byznesmenów (śledztwo prokuratora Garrisona) i nacziarzy z Teksasu, a nawet wskazywano konkretnie na osobę Jimmy'ego Hoffy, szefa związków zawodowych i śmiertelnego wroga prezydenta. Nikt jednak nigdy nie wysunął oskarżenia o zorganizowanie spisku pod adresem administracji. Czy dlatego, że z góry wykluczono taką ewentualność, czy też nie dysponowano żadnymi dowodami, które by do takiego zarzutu upoważniały? Dziś można z całą pewnością stwierdzić, iż zdecydował o tym drugi czynnik.

W roku ubiegłym, jak doskonale pamiętamy, osiągnął swój punkt kulminacyjny — w aferze Watergate — narastający od lat wewnętrzny kryzys zaufania. Wcześniej, bo w 1971 roku, wstrząs w społeczeństwie USA wywołało opublikowanie dokumentów Pentagonu, ujawniających prawdę o amerykańskim zaangażowaniu w Wietnamie. Zarówno afera Watergate, która kosztowała Richarda Nixona fotel prezydencki, a wielu wysoko postawionych urzędników jego administracji — eksponowane stanowiska, jak i sprawa „Pentagon Papers” — odsłoniła społeczeństwu Stanów Zjednoczonych wprost nieograniczone możliwości tuszowania różnych błędnych posunięć i afer administracji, korupcji, czy nawet politycznych zbrodni. Na jaw wyszło wiele afer, w których zamieszane były człowiek osobistości amerykańskiego życia politycznego. Właśnie jedną z nich, może najbardziej mroczną, która jednak w świetle Watergate nabrała nowego blasku — był niewyjaśniony problem podłoża i okoliczności śmierci prezydenta Johna Kennedy'ego.

Okazało się bowiem w świetle najnowszych badań historyków, iż zabójstwo prezydenta nie było aktem represji ze strony luźnych, prywatnych ugrupowań w odwet za jakiegoś posunięcia godzące w ich interesy, lecz środkiem profilaktycznym, który miał na celu niwelowanie jakiegokolwiek zagrożenia politycznej zmiany kursu w polityce USA wobec Azji południowo-wschodniej. W myśl tej tezy spiskowcy nie chcieli za żadną cenę dopuścić, aby weszły w życie rozkazy prezydenta wydane na początku listopada 1963 roku.

1 września prezydent Kennedy złożył swój podpis pod zawartym z ZSRR Układem o Zakazie Próby Nuklearnych. Miało to być zarazem krok wstępny na drodze do przełamania bariery „zimnej wojny” dzielącej oba supermocarstwa. Prezydent zdawał sobie jednak jasno sprawę z tego, że aby móc owocnie prowadzić politykę odprężenia z ZSRR, musi ograniczyć swoje zaangażowanie w Wietnamie. Niejednokrotnie dawał do zrozumienia iż takie zaangażowanie mogłoby uwikłać Stany Zjednoczone w wojnę, w której zwycięstwo byłoby wątpliwe, zaś koszty i ofiary ogromne. Często cytował w kregu bliskich współpracowników ostrzeżenie gen. Mac Arthura, że Ameryka nigdy nie powinna pozwolić się wciągnąć w wojnę lądową w Azji.

Jak mogliśmy usprawiedliwić walkę wojsk amerykańskich w Indochinach, które dzieli od nas 14 tysięcy kilometrów — mawiał Kennedy — skoro nie potrafiliśmy usprawiedliwić jej na Kubie, którą dzieli od naszych wybrzeży tylko 140 kilometrów.

Jeden z doradców prezydenta, Theodore Sorensen, wspomina, iż prezydent nosił się jesienią 1963 roku z zamiarem podjęcia decyzji o zredukowaniu liczb żołnierzy amerykańskich, stacjonujących w Wietnamie. Liczba tzw. „doradców wojskowych” w Sajgonie w czasie jego urzędowania wzrosła bowiem pod presją Pentagonu z 3 tysięcy do 16 tysięcy. Sądził, że to powinno wystarczyć.

Tego stanowiska nie podzielał jednak szefowie sztabów sił zbrojnych USA. Ich plany obejmowały przeprowadzenie dwóch kampanii, z których jedna zakładała opanowanie do 1964 roku północnych prowincji Południowego Wietnamu, druga zaś zdobycie do końca 1965 roku — delty Mekongu na południe od Sajgonu. W tym celu wierali stałą presję na Kennedy'ego przez całe lato 1963 roku, aby wyraził zgodę na wysłanie znacznych kontyngentów wojskowych do Wietnamu. Oto, co mówi na ten temat raport jednego z bliskich doradców prezydenta, Rogera Hillsmana, datowany 8 września 1963 roku.

„Wojskowi wprawdzie nie znajdują się jeszcze w otwartej opozycji, lecz gdy zapadnie decyzja o przystąpieniu do niej ze strony szefów sztabów i wielu generałów wyższych rang, będą mogli liczyć na poparcie Kongresu i konflikt w łonie rządu może przerodzić się w polityczną wojnę domową o zasięgu ogólnokrajowym, jaką pamiętamy z czasów ery McCarthy'ego”.

W październiku 1973 r. nacisk na prezydenta stawał się coraz silniejszy. Ge-

neralowie mówili teraz otwarcie o konieczności rozpoczęcia działań prewencyjnych, które mogłyby zniszczyć przeciwnika „w zarodku”. Kennedy nie ustępował, był jednakże osamotniony. Po przeciwnej stronie znajdował się zarówno wiceprezydent Johnson, sekretarz stanu Dean Rusk jak i minister obrony Robert McNamara, doradca do spraw bezpieczeństwa, Walt Rostow, jak i przewodniczący Kolegium Sześć Sztabów, gen. Maxwell Taylor oraz liczni generałowie.

Gwoli ścisłości nie tylko sprawa wietnamskiej polityki Kennedy'ego wywoływała w większości z nich zastrzeżenia. Większość była bowiem zdania, że nie nadszedł jeszcze czas na nawiązanie dialogu z ZSRR, uważali, że najpierw trzeba odpowiednio wzmocnić i rozbudować potencjał wojskowy USA (zwłaszcza rakietowo-nuklearny). Domagali się więc poważnego zwiększenia wydatków na cele wojskowe, na co z kolei Kennedy nie bardzo chciał się zgodzić. Wywołało to oczywiście poważny wzrost niezadowolenia w kołach wojskowych, a zwłaszcza wśród czelnych przedstawicieli rozrastającego się do niepokojących rozmiarów kompleksu militarno-przemysłowego, przed którym przestrzegał jeszcze Dwight Eisenhower, opuszczając urząd prezydencki. Nic dziwnego, zamówienia otrzymane z Pentagonu oznaczały przecież krociowe zyski dla byznesmenów z nim współpracujących. Można więc sobie wyobrazić wielość na tego, który chciał ich owoych zysków pozbawić. Czy siła, jaka koła te reprezentowały mogła zagrozić pozycji prezydenta? Odpowiedź może być chyba twierdząca, że siła, jaka koła te reprezentowały mogła zagrozić konieczności uciekania się USA do użycia siły zbrojnej w celu zabezpieczenia m.in. swych interesów gospodarczych, wpłynęła na powstanie ideologicznej spójni między grupami kierowniczymi w zakresie politycznym, militarnym i gospodarczym. Powołanie zadań gospodarczych z działalnością typu militarnego stworzyło w Stanach Zjednoczonych określenie tego instrumentu działania, jak i wywołało w specyficzny sposób na proces podejmowania decyzji w zakresie polityki zagranicznej.

Tymczasem 1 listopada 1963 r. zostaje obalony drogą puczu wojskowego dyktator wietnamski. Diem. W kilka dni później Kennedy podejmuje brzemienne w skutki decyzję wycofania amerykańskiego personelu w Wietnamie do końca 1965 roku. Na początek planuje wycofanie przed końcem 1963 roku tysiąca żołnierzy. Dotychczas „wierzono, iż to właśnie Kennedy był inspiratorem akcji obalenia Diema, tak jak zatajonej przed Kongresem i opinią publiczną akcji bombardowań neutralnej Kambodży oraz zwolnieniem zaangażowania w Wietnamie. Ujawnienie dokumentów Pentagonu przez Daniela Ellsberga oraz śledztwo wszczęte w celu wyjaśnienia afery Watergate wykazało niezbicie, iż dokumenty mówiące o powyższych faktach zostały sfałszowane przez przeciwników Kennedy'ego, aby umożliwić jego następcy rozwój amerykańskiej obecności w Wietnamie do monstrualnych rozmiarów. Niedawno Kenneth O'Donnell, współpracownik prezydenta ujawnił, że Pentagon otrzymał tajny rozkaz przeprowadzenia wspomianej redukcji wojsk. Fakt ten potwierdził również senator Wayne Morse,

mówiąc, iż Kennedy zwierzył mu się z tej decyzji w rozmowie 12 listopada. Decyzja ta w opinii generałów graniczyła wprost ze „zdradą amerykańskich interesów narodowych”. Ten właśnie moment według historyków i oadczy okoliczności śmierci prezydenta, takich jak Arthur Schlesinger, George Nash,



WANTED FOR TREASON

THIS MAN is wanted for treason... 1. He has been... 2. He has been... 3. He has been... 4. He has been... 5. He has been... 6. He has been... 7. He has been... 8. He has been... 9. He has been... 10. He has been...

W przeddzień przyjazdu prezydenta do Dallas pojawił się ulotki wydrukowane w postaci listu gończego, zatytułowane „Poszukiwany za zdradę”. A oto fragment początkowy tego „listu”:

Człowieka tego poszukuje się za zdradę... 1. Zdradził Konstytucję, której przysiągł... 2. Zdradził... 3. Zdradził... 4. Zdradził... 5. Zdradził... 6. Zdradził... 7. Zdradził... 8. Zdradził... 9. Zdradził... 10. Zdradził...

1. Zdradził Konstytucję, której przysiągł... 2. Zdradził... 3. Zdradził... 4. Zdradził... 5. Zdradził... 6. Zdradził... 7. Zdradził... 8. Zdradził... 9. Zdradził... 10. Zdradził...

Zdradził naszych przyjaciół (Kubę, Kambodżę, Portugalię) i zaprzyjaźnił się z naszymi wrogami (Rosją, Jugosławią i Polską)...

Sylvia Meagher i David Lifton — był przelomowy, wtedy bowiem ostatecznie zawiązał się spisek przeciw Kennedy'emu. Inspiratorami jego mogli być tylko wyżej wspomniane wysoce osobowości wojskowe i cywilne, które jak zwykle w takich przypadkach wierzyły, że działają w „interese narodowym”.

Podstawą do postawienia takiego zarzutu są następujące, konkretne poszlaki i fakty:

1. Jak ujawniła ówczesny rzecznik prasowy przy Białym Domu, Pierre Salinger i historyk Theodore White — na pokładzie samolotu „Air Force One”, którym zwłoki prezydenta powracali z Dallas do Waszyngtonu, odebrano depesze radiową z Biura Oceny Sytuacji Militarnej przy Białym Domu, w której donoszono, iż nie było „żadnego spisku”, gdyż schwytano sprawcę mordu, Lee Harvey Oswald, działacza „zupnie sam”. Okazało się później, że do chwili, gdy ta wiadomość została wysłana, Oswald nie był jeszcze w ogóle oskarżony o zabójstwo prezydenta. Władze aresztowały go pod zarzutem

zamordowania polejania Tippita i nawet następnego dnia prokurator Henry Wade mówił, iż „wydaje się, że w operacji przeciw Kennedy'emu brało udział kilku ludzi”.

2. „Dlaczego autopsję zwłok prezydenta przeprowadzili lekarze (Humes, Finck i Boswell), których kwalifikacje postawiło pod znakiem zapytania kilku wybitnych specjalistów (prof. Wecht, prof. Robert Jolling — prezes Akademii Medycyny Sadowej), podczas gdy Bethesda — Hospitał zażyczył zatrudnienia przy tych czynnościach lekarzy cywilnych mieszkających w pobliżu, ak dr Russel Fisher, dr Milton Halpern, dr Joseph Spelman, dr Geoffrey Mann i dr Alan Smith?”

3. Dlaczego tajne akta dotyczące sprawy zabójstwa prezydenta zostały umieszczone w stalowym sejfie National Archiw, gdzie z racji bezpieczeństwa narodowego będą przechowywane tajemniczo do roku 2039?”

4. Jak wytłumaczyć fakt, iż na ponad tydzień przed dramatem w Dallas jeden z departamentów Pentagonu otrzymał polecenie ministra McNamary rozpoczęcia przygotowań do potrzeb prezydenta? Zbieg okoliczności? Nieostrożność?

5. Dlaczego Edgar Hoover, dyrektor FBI polecił zniszczyć „kompromitujące dokumenty” (dotyczące polityki Kennedy'ego wobec Wietnamu) oraz klaczkę FBI wraz z CIA tak gorliwie i siaranie ukrywała i fałszowała fakty podważające oficjalną tezę o zabójstwie prezydenta?

6. Czy przypadek zrzędził, iż 22 listopada 1963 roku, a więc w dniu, w którym zabito Kennedy'ego, w Honolulu na Hawajach zebrał się na konferencji w sprawie omówienia sytuacji w Wietnamie prawie wszyscy opozyci dalekowschodniej polityki Kennedy'ego (D. Rusk, R. McNamara, gen. M. Taylor, gen. P. Harkins i ambasador Henry Cabot Lodge)? Decyzje, jakie podjęto, dotyczyły przecież zwiększenia amerykańskiego wysiłku wojennego w Wietnamie i intensyfikacji działań wojskowych przeciw partyzantom.

Kimkolwiek był ci ludzie, ich zamaskowany zamach stanu osiągnął cel. Zaledwie w dwa dni po zamordowaniu swego poprzednika prezydent Lyndon Johnson przyjął ambasadora Wietnamu Południowego i poinformował go, że polityka Kennedy'ego zostanie całkowicie zamknięta. Rozkaz o powrocie 1000 żołnierzy jeszcze przed końcem 1963 roku został anulowany. Zamiast tego Pentagon i Komitet Sześć Sztabów otrzymały wolną rękę dla swoich ordesiewicz militarnych, w efekcie czego nastąpiło znaczne zwiększenie wydatków zbrojnych na realizację programu zbrojeń strategicznych i aktywnego zaangażowania wojskowego w Wietnamie, gdzie za dwa lata walczyło już ponad 500 tysięcy żołnierzy amerykańskich.

Na koniec jeszcze jedno zdanie z raportu Warrena:

„Do konkluzji wskazującej, iż nie ujawniono żadnego dowodu wystąpienia spisku, doszli także niezależnie (od komisji) na podstawie otrzymanych informacji: sekretarz stanu Dean Rusk, minister obrony Robert McNamara, sekretarz skarbu C. Douglas Dillon, minister sprawiedliwości Robert Kennedy, dyrektor FBI J. Edgar Hoover, dyrektor CIA, John McConne i szef Secret Service, James Rowley”.

HIPOTEZY (X)

ERICH von DÄNIKEN

TAJEMNICA PUSTYNI

Kiedy byłem w Peru w roku 1965, najbliższa odległość z jakiej obserwowałem z morza wysoki na 820 stóp (246 metrów), umieszczony na przybrzeżnej skale w zatoce Pisco trójbąb wynosiła jedną milę. Podczas naszej podróży w roku 1968 zamierzaliśmy wraz z Hansem Neunerem dostać się na brzeg, odgrzebać przynajmniej kawałek jednego z ramion trójbąb z piasku i porobić zdjęcia.

Po nieudanej próbie dotarcia do trójbąb od strony lądu, kiedy to rano w nocy samolot, co chwila grzązał w dlinach płaskowych, udało nam się przekonać pewnego rybaka, aby zabrał nas do zatoki. Przez dobre dwie godziny żeglaliśmy popędzamy lekką bryzą, po czym rybak wyjaśnił nam, że nie może podopłynąć bliżej do brzegu, ponieważ narodziły się wódz na rozbiście o ostre skały podwodne. Nie mieliśmy innego wyboru jak tylko wskoczyć do wody i pokonać pozostałe do brzegu 50 jardów brodząc i płynąc na przemian, w ubranu i w butach z obawy przed ukąszeniami ryb.

Niestety, po kilku godzinach ciężkiej pracy stwierdziliśmy, że odsłonięcie choćby małego odcinka ramienia trójbąb z twardej warstwy piachu było ponad nasze siły. Dokonałmy jednak kilku dokładnych i wartościowych pomiarów. Poszczególne ramiona trójbąb mają szerokość około 12 stóp i 6 cali (375 cm). Tworzą je śnieżnobiałe fosforyzujące bloki o

twierdoci granitu. Zanim pokrył je piach, tzn. dotąd, dokąd dawni mieszkańcy tych terenów usuwali go z trójbąb, ten osłaniający, błyszczący znak dla „bogów” musiał wprost kląć w oczy.

Pewna grupa archeologów uważa, że trójbąb na skalach zatoki Pisco był znakiem dla żeglarzy. Fakt, że położony jest on w zatoce i nie może być widziany przez przepływające ze wszystkich stron statki, świadczy na niekorzyść tej teorii. Innym kontrargumentem jest to, że drogowy szlak takich rozmiarów byłby przesadnie wielki dla żegluga przybrzeżnej, a ogólnie mówiąc, wątpliwe jest istnienie żeglarstwa pełnomorskiego w zamierzchłej starożytności. Ale najważniejszą rzeczą świadcząca przeciwko tej teorii jest to, że budownicowie trójbąb zbudowali go tak, że ramiona jego skierowane są w niebo. Moglibyśmy również zapytać, dlaczego starożytni nie wykorzystali dwu wysp leżących daleko na morzu, bezpośrednio na linii jaką wyznacza przedłużenie środkowego ramienia trójbąb jeżeli konieczne było istnienie znaków nawigacyjnych dla żegluga. Wyspy te stanowią naturalne punkty orientacyjne widoczne z daleka dla każdego statku niezależnie od kierunku, z którego zbliżałby się on do zatoki. Po co więc znak nawigacyjny, którego żeglarze płynący z północy lub południa nie mogliby w ogóle widzieć? I po co znak wskazujący kierunek do nie-

bios? Moge jeszcze dodać jako ostatni argument, że z wyjątkiem płaskizny pustyni nie ma tu absolutnie niczego, co mogłoby przyciągać żeglarzy i że woda tutejsze najeżone ostrymi skalami podwodnymi musiałaby być nieodpowiednie do zarzucania kotwicy nawet w czasach prehistorycznych.

Jeszcze inny fakt potwierdza moją teorię dotyczącą tego kierunkowskazu pokazującego na niebo. W odległości tylko 100 mil w linii prostej położony jest płaskowyż Nazca ze swymi tajemniczymi znakami wyłożonymi w ziemi, które odkryto dopiero w latach trzydziestych. Od tego czasu archeologowie łamią sobie głowy nad znaczeniem geometrycznego systemu linii, rysunków zwierząt i starannie ułożonych fragmentów głazów na terenie, którego długość wynosi około 30 mil od Palpa na północ do Nazca na południe. Według mnie, wygląda to jak lądowisko samolotów.

Jeśli się leci nad płaskowyżem samolotem, linie te wyraźnie rzucają się w oczy; nawet z wielkiej wysokości są one dokładnie rozpoznawalne. Ciągna się kilometrami, czasem biegnąc do siebie równolegle, czasem przecinając się i łącząc w trapezoidy o bokach długości prawie 850 jardów (774 metry). Pomiedzy tymi zamarymi, prostymi liniami można dostrzec zarysy olbrzymich postaci zwierzęcych, z których największa, mierzona z dwu najodleglejszych krańców, jest długa na 275 jardów (250 metrów).

(W dalszej części swych rozważań Däniken opisuje wygląd linii z bliska. Są to brzozy wyłożone w ziemi, które są tak doskonale widoczne dzięki żółtobiałemu kolorowi podłoża kontrastującemu z brązowym kolorem wierzchniej warstwy piachu. Dokładnych pomiarów i opisów figur geometrycznych i postaci zwierząt dokonała Maria Reiche, która zajmuje się tym ciekawym zjawiskiem od roku 1946.)

Maria Reiche mówi: „Autorzy rysunków, którzy mogli widzieć doskonałość swego dzieła je-

dynie z powietrza, musieli najpierw zaplanować i narysować je w zmniejszonej skali. Jak potem zdolali oni wyłożyć każdą linię we właściwym miejscu i kierunku na przestrzeni wielu metrów, jest zagadką, której rozwiązanie zajmie nam wiele lat”.

Jak dotąd uczeni zbyt mało uwagi poświęcili zjawiskom na równinie Nazca. Z początku uważali oni, że linie przedstawiają drogi lub kanały irygacyjne dawnych Inków. Oba wyjaśnienia są bez sensu! Po co drogi miałyby zaczynać się w środku równiny i potem zniknąć kończy? Gdyby linie były drogami, to dlaczego miałyby się przecinać tworząc system współrzędnych? Dlaczego miałyby być narysowane tak, aby wskazywały strony świata, skoro zadaniem dróg jest łączyć punkty na ziemi możliwie najkrótszą trasą? I dlaczego kanały irygacyjne miałyby mieć kształt ptaków, pajaków i węży?

Maria Reiche która najdłużej i najdogłębiej pracowała nad rozwiązaniem tajemnicy równiny Nazca i która wyniki swej pracy opublikowała w 1968 r. w książce „Secret of the Desert” (Tajemnica pustyni), odrzuca te wyjaśnienia. Uważa ona za bardziej prawdopodobne to, że rysunki są związane z kalendarzem i że mają ponadto znaczenie religijne.

Wiem, że Maria Reiche nie podziela moich poglądów na temat rysunków geometrycznych w Nazca, ponieważ dotychczasowe wyniki jej badań nie uwzględniały do wyłączenia tak odważnych wniosków. Pomimo tego chciałbym, aby wolno mi było przedstawić moją własną teorię. Kiedyś, w przeszłości, nieznanie istoty rozumne wyładowały na bezludnej równinie niedaleko od obecnego miasta Nazca i zbudowały zaopieczony lądowisko dla swych pojazdów kosmicznych, które miały działać w sąsiedztwie Ziemi. Kosmonauci wyznaczyli dwa pasy startowe w idealnym do tego celu terenie. Być może oznaczyli je jakimś nie znanym nam materiałem? Tak jak wielokrotnie

przedtem, kosmonauci wykonali swe zadanie i powrócili na rodzimą planetę.

Wywarli oni jednak głębokie wrażenie na obserwujących ich członkach plemion dawnych Indian, którzy gorąco pragnęli powrotu tych „bogów”. Czekali długie lata a kiedy ich życzenia się nie spełniały, rozpoczęli kreślenie nowych linii na równinie, tak jak to zaobserwowali u „bogów”. Oto jak rozbudowane zostały pierwsze dwa pasy startowe.

Jednakże „bogowie” w dalszym ciągu nie przybywali. Co się stało? O co rozniewiali się „niebieskie istoty”? Pewien kapłan wspominał, że „bogowie” przybyli z gwiazd i orzekli, że trzeba mając wabić ich linie wyrzucić według gwiazd. Praca rozpoczęła się od nowa i powstały szlaki wyłożone według gwiazdozbiorów.

Jednakże „bogów” dalej nie było widać. W międzyczasie przemieniły całe generacje. Pierwotne, właściwe pasy startowe zbudowane przez nieznanych kosmonautów uległy zniszczeniu. Pokolenia Indian, które urodziły się później tylko z przekazów usnych dowiadywały się o „bogach”, którzy kiedyś przybyli z nieba. Kapłani uczyli ich tych przekazów świętej tradycji i zmuszali ludzi do ciągłej budowy nowych znaków dla „bogów”, aby mogli oni kiedyś powrócić.

Skoro jednak te sztuki magiczne z liniami okazały się nieskuteczne, zaczęto wyżyłabiać w ziemi ogromne sylwetki zwierząt. Na początku rysowano różne ptaki mające symbolizować latańce; później jednak wybrała się kazała rysownikom wyżyłabiać sylwetki pajaków, małp i ryb.

Jest to oczywiście hipoteza wyjaśnienie rysunków z Nazca lecz z pewnością coś podobnego mogło się zdarzyć.

Opracował: B. KRAKOWIAN

U PRZYJACIOŁ

Jak już pisaliśmy, w dniach 16-23 maja br. obchodzimy „Dni Województwa Csongrád” na Ziemi Łódzkiej. Z okazji tych obchodów zbliżających się do 30-lecia Węgierskiej Republiki Ludowej, pragniemy w sposób chociaż najogólniejszy przedstawić historię i obecny obraz tego zaprzyjaźnionego z nami województwa.

Województwo Csongrád jest jednym z dziewiętnastu województw w tym kraju i leży w południowo-wschodniej części Wielkiej Niziny Węgierskiej, w dorzeczu trzech rzek: Cisy, Maros i Körös. Granicą województwa jest jednocześnie granicą państwowa z Jugosławią i Rumunią. Obszar województwa Csongrád wynosi 4150 km kw. i jest zamieszkały przez prawie pół miliona mieszkańców.

W dziedzinie kultury i gospodarki województwo Csongrád ma duże znaczenie dla kraju. Szczególnie korzystne warunki glebowo-klimatyczne — niewielka ilość opadów, duże nasłonecznienie, dodatni bilans wodny, wynikający z położenia w dorzeczu trzech rzek oraz bogate zasoby gorących wód leczniczych pozwoliły na stworzenie korzystnego profilu upraw rolnych. Obok pszenicy, buraka cukrowego i konopii, doskonale wyniki osiąga się w sadownictwie i uprawie warzyw. Tutaj również spotyka się najpiękniejsze brzoskwinie i winogrona. Liczne powstałe nowoczesne szklarnie dostarczają na rynek krajowy i zagraniczny, w tym również do Polski, duże ilości nowalijek i kwiatów. Rolnictwo oparte jest na gospodarce wielkoprzemysłowej, spółdzielczej i państwowej.

Na terenie województwa znajdują się pięć większych miast — Szeged, Hódmezővásárhely, Szentes, Mako i Csongrád. Największe z nich — Szeged liczy 160 tys. mieszkańców, i stanowi centrum uniwersyteckie. Jest to jedno z najstarszych miast, ma już 800-letnią tradycję. W chwili obecnej bardzo dynamicznie rozwija się. Znane jest z letnich festiwali operowych, odbywających się w amfiteatrze o 6200 miejscach. Posiada rozwiniętą przemysł lekką, szczególnie tekstylny. Ostatnio, w związku z odkryciem bogatych złóż ropy naftowej i gazu ziemnego, intensywnie rozwijany jest przemysł chemiczny. Turystów zainteresują liczne zabytki kulturalne i architektoniczne.

Drugie co do wielkości miasto Hódmezővásárhely liczy około 50 tysięcy mieszkańców. Słynne jest przede wszystkim ze szkoły malarstwa zapoczątkowanej przez Torrya i Pászora, szkoły której tradycje podtrzymywane są do dziś przez licznych młodych artystów. Znane jest również z pięknych wyrobów sztuki ludowej, ceramiki i haftów. W okresie ostatnich 30 lat miasto zmieniło swój charakter — rozwinięty przemysł. Powstały tu nowoczesne, największe na Węgrzech fabryki maszyn rolniczych, porcelany i zakłady dziewiarskie.

Szentes jest 30-tysięcznym miastem, które stanowiło niegdyś poważne skupisko robotników rolnych, znane z licznych ruchów chłopskich. Obecnie znajdują się tutaj spółdzielnie produkcyjne zajmujące się nowoczesną uprawą warzyw i kwiatów. Makó — to również miasto rolników i hodowców. Jest ono stolicą największego zagłębia cebulowego. Najmniejszym, lecz pełnym uroku miastem jest sam Csongrád — najstarsze miasto województwa, a jednocześnie historyczna stolica województwa.

Nie sposób wyczerpująco ukazać piękno i nastrojowość miast, osiedli i wiosek województwa Csongrád. Każdy jednak przyjeździe — jak piszą w folderze i programie imprez jego autorzy — spotka tu dużo słońca, wspaniałe kąpieliska, smaczne owoce i wiele rozrywek. Późna warunki pracy i życia ludzi, z którymi od wieków łączą nas więzy braterstwa i przyjaźni.

Jedną z najbardziej tajnych nazistowskich organizacji w hitlerowskich Niemczech był „Lebensborn” (Źródło Życia) — w wolnym tłumaczeniu na język polski, utworzony w 1935 roku na polecenie szefa SS — Himmlera. W dyspozycji tej instytucji znajdowały się tzw. „domy spotkań” — zarówno w Niemczech jak i w innych okupowanych krajach Zachodniej Europy — dla oficerów SS i młodych kobiet „z przywoitych domów”, „czystych” z rasowego punktu widzenia, klinik i domy porodowe, w których przy zachowaniu najgłębszej tajemnicy kobiety mogły „rodzić dzieci dla fuehrera”, ograćki dziecięce, a ściślej mówiąc — ochronki, do których zabierano i w których wychowywano dzieci „aryjskiej superrasy”. Wedle zamysłu Hitlera one właśnie miały w przyszłości zasiedlić terytoria podbite przez III Rzeszę. Do końca wojny, ze środków przekazanych dla SS, wychowano około 100 tysięcy takich dzieci „bezugranicznie oddanych fuehrerowi”.

Dzisiaj ludzie ci mają po trzydziści, czterdziści lat. Większość z nich żyje w różnych krajach Europy i Ameryki nie nie wiedząc o swoim pochodzeniu. Do nich należy jeszcze dodać około 200 tysięcy polskich dzieci zagarniętych przez wojska hitlerowskie, których krew uznano „za czystą”, jak również tysiące dzieci wywiezionych z Norwegii, Francji, Holandii, Czechosłowacji i oddanych rodzinom niemieckim, które z funduszy organizacji „Lebensborn” miały być wychowywać „w duchu wierności dla Niemiec”.

Po zakończeniu wojny odnaleziono w Niemczech i przywieziono do Polski zaledwie 15 proc. uprowadzonych dzieci polskich. Pozostałe żyją gdzieś na obczyźnie, nie nie wiedząc o dramacie swego dzieciństwa.

Zdarza się niekiedy, że ci dorośli już ludzie trafiają przypadkiem na zarte ślady swego tragicznego dzieciństwa. Francesco Russo, dziennikarz z rzymskiego „L'Espresso”, przytacza jedno z takich wstrząsających wydażeń. Ingrid de Fau, 30-letnia wysoka

brunetka, zawsze uważała siebie za córkę francuskich patriotów, którzy zginęli w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Któregoś dnia, w domu swych przybranych rodziców, znalazła trafem dokumenty o adopcji. Wynikało z nich, że jej prawdziwe nazwisko brzmi: de Fau, Ogarnięta nieprzeparą chęcią poznania wszystkich okoliczności swego dzieciństwa rozpoczęła długotrwałe i trudne poszukiwania. Jednakże gdzie by się nie zwróciła — wszędzie natrafiała na mur milczenia. Wreszcie w Genewie, w

Sledztwo przeprowadzone przez małżonków Huliel odsłoniło ostatecznie kulisz tajemnicy, za którymi kryła się dotąd działalność organizacji „Lebensborn”. Była ona zawsze głęboko zakonspirowana. W czasie jednego z dwunastu procesów, które prowadzili Amerykanie już po Procesie Norymberskim, kierowniczy aparat „Lebensborn” został praktycznie uniewinniony, sędziowie uznali bowiem tę organizację za instytucję dobroczynną, która się jakoby zajmowała profilaktyką przerywania ciąży. Dopiero z biegiem

zaświadczeń. Musiały one wypełniać ankiety, przedstawiać dokumenty świadczące o ich aryjskim pochodzeniu, zaświadczenia zdrowia i opinii oraz „wskazać prawdziwego ojca”. Po porodzie matka i dziecko pozostawali jeszcze przez trzy miesiące w klinice. Imię i nazwisko noworodka wpisywano do specjalnego wykazu SS. Później oddawano dziecko na wychowanie do „aryjskiej rodziny”, przestrzegającej nazistowskie zasady.

Co się działo z dziećmi chorymi lub z defektami? Oddawano je nie określonym rodzinom niemieckim, lecz do domów dziecka lub przytułków dla podrzutek, gdzie po pewnym czasie umierały, oczywiście zawsze „śmiercią naturalną”.

Do wybuchu II wojny światowej matkami przyszłych aryjskich „supermanów” były przede wszystkim niemieckie kobiety i dziewczęta, z których wiele służyło w pomocniczych oddziałach wojsk lądowych i lotnictwa. Po okupowaniu przez wojska hitlerowskie wielu krajów Europy, w klinikach „Lebensborn” coraz częściej zaczęły się pojawiać „pacjentki” z Norwegii, Włoch, Francji, Holandii a nawet ze Szwecji i Szwajcarii.

Małżonkowie Huliel odnaleźli kilkoro osób spośród owych dziesiątków tysięcy, które będąc dziećmi zostały wysłane do Niemiec tylko dlatego, że miały złociste loki i jasne oczy. Jednym z nich jest Polak. W 1942 roku miał 4 lata, kiedy nażłodzi odebrali go rodzicom. Dziś pracuje w jednym z miast w Polsce.

Dziennikarze rozmawiali także z Marią D., która urodziła się w Lidicach, zrównanych z ziemią w 1942 roku po zabójstwie gauleitera Reinharda Heydricha. Spośród 90 dzieci więzionych wówczas w Lidicach, tylko 9 wzięli naziści do dalszej germanizacji.

Dzieciom typu nordyckiego, porwanym w różnych krajach, mierzono czoło, nos, profil, dokonywano analizy ich głosu, krwi, chodu, prowadzono testy. Wszystko to należało do tzw. „oceny rasowej”. Po upływie dwóch tygodni od pierwszych badań dzieciom znów mierzono nosy, żeby nie „dopuszczyć do omyłki”. Na podstawie tych danych podejmowano decyzję, czy dane dziecko jest godne „być synem Niemiec”. Takie odesłano do ochronek „Lebensborn” dla cudzoziemców.

Jedną z ochronek znajdowała się w Oberweiss, w Austrii. Tam dzieci powinny zapomnieć swego ojczystego języka, nauczyć się języka niemieckiego, zapomnieć wszystko o swojej przeszłości i otrzymać wychowanie w „duchu oddania dla fuehrera i Niemiec”. Te, które sprzeciwiały się tej przymusowej germanizacji i nazifikacji, poddawano srogim karom: zostawiano je godzinami na kolanach w ciemnym pokoju, grożono wysłaniem do obozu koncentracyjnego itp.

Pewien polski chłopiec, który nie chciał się przywracać do niemieckiego z oficerem hitlerowskim, został zabity na miejscu przez dyrektorkę ochronki, Johannę Sander. Personal SS pojawiał się w ochronkach wyłącznie w uniformach służbowych. Zgodnie z regulaminem nie pozwalano na pełne adopotowanie dziećmi, bowiem SS-owcy pozostawili sobie prawo zabierania wychowanków z ochronki po ukończeniu przez nich 18 roku życia, „żeby i oni mogli wnieść swój wkład w tworzenie aryjskiego imperium...”

JERZY CZECH

TAJNA MISJA „LEBENSBOERN”

biurze Czerwonego Krzyża, dowiedziała się całej prawdy: urodziła się nie w obozie koncentracyjnym, lecz w paryskiej klinice należącej do „Lebensborn”, a jej rodzicami byli — oficer SS i młoda Szwedka, którzy spotkali się tylko po to, by mógł przyjąć na świat przedstawiciel „elity” przyszłej Rzeszy. Niewiara, rozpacz i przerażenie ogarnęły tę młodą kobietę, kiedy odkryła, że jej ojciec był jednym z tych zbrodniarzy, których nienawdziła przez całe swoje życie.

Francuski dziennikarz Marc Huliel i jego żona Clarissa Henri, odnaleźli nie tylko Ingrid de Fau, lecz także jeszcze kilka innych kobiet, głównie Polek i Czeszek. Po długich rozmowach, które z nimi przeprowadzili, nakreślił telewizyjny film dokumentalny, pokazany niedawno przez brytyjską kompanię telewizyjną BBC.

Obojgu francuskim dziennikarzom udało się również ustalić, iż czworo wysokiich funkcjonariuszy organizacji „Lebensborn” żyje do dzisiejszego dnia. I tak, standartenführer SS, Maks Solman, który kierował w owym czasie administracją tej organizacji, mieszka obecnie w Monachium. Inga Wiermetz — szef klinik poza granicami ówczesnych Niemiec — nosi obecnie nazwisko Klengsporn, Dziennikarzem francuscy odnaleźli także Gregora Ebera, pracującego w wydziale lekarskim oraz Güntera Tescha, kierownika wydziału prawnego. Żadna z tych czterech osób nie wyraziła zgody na rozmowę z dziennikarzami.

czasu ujawniane fakty rzuciły na jej działalność właściwe światło.

Być może „Lebensborn” na zawsze pozostałaby tylko płodem chorobliwej wyobraźni Himmlera, gdyby nie to, iż stał on na czele wszechmocnego SS, tego państwa w państwie. Oto, co pisał Himmler na ten temat: „Walka Wehrmachtu o rozszerzenie naszych granic będzie daremna, jeśli w ślad za zwycięstwami niemieckich żołnierzy nie pójdzie zwycięstwo niemieckiego ducha. Ani jeden oficer SS nie może zapominać, że przyszłość Niemiec zależy od żarliwości z jaką każdy z nas będzie wypełniał swój dług. Pewnego rodzaju paszyciem był każdego oficera SS powinien być udział w działalności „Lebensborn”.

„Lebensborn” powstał w Monachium (w 1942 roku Himmler nazwał to miasto „stolicą nowego ładu i nowej rodziny”) i w Steingeringu, niewielkiej wiosce leżącej 35 km od Monachium. Później utworzono ośrodki „Lebensborn” jeszcze w dwunastu miastach i osadach niemieckich, a także, nieco później, na ziemiach okupowanych przez wojska hitlerowskie.

Kobiety, które zaszły w ciążę w „domach spotkań” rozdziły w specjalnych klinikach znajdujących się także w dyspozycji „Lebensborn”. Dwoje wspomnianych dziennikarzy francuskich odnalazło kilka pielęgniarek, które pracowały swego czasu w klinice w Steingeringu. Opowiadały one, iż przyszłe matki przyjmowano do klinik wyłącznie na podstawie specjalnych

Koniec wietnamskiej ery polityki Stanów Zjednoczonych Co oznacza podróż Forda

Kapitulacja reżimu sajońskiego otwiera nową kartę w historii Południowego Wietnamu. Stara zapisana została nieustanną walką. Przypomnijmy jej dzieje.

Kiedy wraz z końcem II wojny światowej zakończyła się japońska okupacja — Wietnam nie znalazł spokoju. Japończyków zastąpił Francuzi, którzy podjęli walkę przeciwko ruchowi narodowowyzwoleńcemu, kierowanemu przez Ho Chi Minha. Trwała ona 8 lat. Dopiero utrata Dien Bien Fu skłoniła Francuzów do rokowań. Konferencja genewska w 1954 roku decyduje o podziale Wietnamu wzdłuż 17 równoleżnika.

Od tej też porę datuje się szczególne zainteresowanie Stanów Zjednoczonych Wietnamem Południowym. Wizyta ówczesnego prezydenta nowo utworzonego państwa — Diema w Waszyngtonie ułatwia USA penetrację polityczną i militarną. Powstają bazy amerykańskie, Waszyngton śle do Wietnamu doradców wojskowych, stale zwiększa się pomoc dla południowego reżimu. W 1959 roku na ziemi wietnamskiej giną pierwsi żołnierze amerykańscy.

W pięć lat później — w 1964 roku pod pretekstem, że zaatakowane zostały dwa amerykańskie niszczyciele w Zatoce Tonkińskiej USA rozpoczynają

zbrojną interwencję, rzucając do walki swoich żołnierzy i nowoczesny sprzęt.

Jest to najdramatyczniejszy okres w życiu narodu wietnamskiego. Ale woli samodzielnego decydowania o swoim losie narodowym — nie może znieść ciężar potęgi USA. Na polach bitew nie uzyskują one oczekiwanych sukcesów, a w kraju rozwija się opór przeciwko udziałowi w wojnie, której nie można wygrać.

Pod naporem opinii publicznej, która domaga się zakończenia interwencji i pokojowych rozstrzygnięć, dochodzi w Paryżu do długich i żmudnych rokowań. W styczniu 1973 roku zawarte zostaje porozumienie paryskie o zaprzestaniu walk i politycznym rozwiązaniu problemu.

Jednakże reżim sajoński uniemożliwia wprowadzenie w życie znacznej części postanowień. Nie przyjmuje też wielokrotnie zgłaszanych przez Tymczasowy Rząd Rewolucyjny propozycji. Odpowiada na nie militarnymi wypadkami na terenach kontrolowanych przez siły patriotyczne. Te zaś, wspierane przez ludność, która oczekuje realizacji postanowień paryskich, wyzwalają coraz to nowe prowincje. Od-

działy wyzwolenicze zbliżają się do Sajgonu. Po licznych próbach obrony reżimu i swego stanowiska Thieu ostatecznie ustępuje, a jego następcą w kilka dni później kapitułuje. Do Sajgonu wkraczają siły wyzwolenicze. Władzę cywilną i wojskową przejmuje TRR, o którym agencje zachodnie piszą, że składa się głównie z intelektualistów. Wietnam Południowy rozpoczyna nowe życie...

Upadek Sajgonu kończy wietnamską erę polityki amerykańskiej, która Stanom Zjednoczonym prócz strat ludzkich i materialnych, a także spadku prestiżu międzynarodowego — nie przyniosła nic. Jakże wyraziście zaprezentowała się więc cała bezzasadność interwencji.

Przegrana na całej linii. Taki jest sens najważniejszych komentarzy. Niektórzy z publicystów amerykańskich twierdzą, że jest to niepowtarzalna lekcja dla Waszyngtonu, z której powinien wyprowadzić zasadniczy wniosek: więcej zrozumienia dla inicjatyw pokojowych, które mogłyby zapobiec następnym wojnom. Inni przewidują, że następstwem tej dotkliwej porażki może być w USA dążenie do izolacjonizmu.

„Zadna wojna w historii USA — pisze korespondent PAP z Waszyngtonu — poza wojną domową nie spowodowała tak gwałtownego poruszenia umysłów, tytuł bolesnych refleksji, ile wojna w Wietnamie”.

Czy obecna i przyszła administracja Stanów Zjednoczonych będą o 1974

pamiętać? Czy wyciągną właściwe nauki?

Rok 1975 przejdzie do historii Indochin i USA jako rok, którego nie można zapomnieć.

Trudno ustalić, czy między niepowodzeniami polityki amerykańskiej: fiaskiem misji medycynej Kissingera na Bliskim Wschodzie i upadkiem Sajgonu, a decyzją prezydenta Forda o udaniu się w dłuższą podróż jest związek, czy też nie, ale faktem jest, iż prezydent Stanów Zjednoczonych wykorzystał swój udział w konferencji na szczycie państw NATO w Brukseli do rozmów z przywódcami Egiptu, Austrii, Hiszpanii i Włoch, a być może — również Izraela. Będzie to pierwsza jego podróż od czasu objęcia urzędu prezydenckiego do Europy. Komentatorów bardziej jednak zastanawiają pozajurajskie cele wyjazdu. Czyżby Ford chciał sam włączyć się w rozwiązanie konfliktu bliskowschodniego?

Korespondent UPI pisze, że potwierdzając odpowiedź na tak formułowane pytanie może oznaczać tylko jedno: chęć wykazania, że to on sam, a nie Kissinger, odgrywa kierowniczą rolę w polityce amerykańskiej. W erze powietnamskiej Ford chce wyraźnie zademonstrować, że USA „będą umacniać swe sojusze, kontynuując jednocześnie poszukiwania pokoju”.

Z tych to względów jego podróż na przełomie maja i czerwca może być interesująca.

W. SŁAWSKI

REPORTAŻ

Dalszy ciąg ze str. 1

wskiego powoduje wszczęcie nowych poszukiwań prowadzonych tym razem przez zespół śląskich naukowców z Instytutu Geologicznego w Sosnowcu. Śląskie pierony zabrały się do roboty i na rezultaty — choć jeszcze ciągle okryte tajemnicą — trzeba było czekać parę lat, co przy tego rodzaju badaniach nie jest wcale zbyt długim okresem.

Co było dalej? Prolog: w roku 1972 śląscy tropiciele węgla z Józefem Pokrzyckim na czele otrzymują Nagrodę Państwową I stopnia. To samo wyróżnienie przyznano prof. J. Samsonowiczowi, Pośmiertnie.

Akt pierwszy: o tym już było na wstępie. W oficjalnych publikacjach pojawia się pojęcie — **LUBELSKIE ZAGŁĘBIE WĘGLOWE**.

Akty dalsze oraz epilog: dopiero nastąpią.

WIZJA LOKALNA

Szosa raz po raz zatacza się od jeziora do jeziora — jest ich tutaj podobno 68 — nurza się w sosnowych zagajnikach, wskakuje na złociste pagóry. Szukam określenia dla tego krajobrazu: laski, piaski i karaski? Chyba może być. Tylko jak się to goździ z czarnościami węgla, który gdzieś tutaj po tym wszystkim spokojnie leży od milionów lat czekając na rękę człowieka?

Na razie niewiele świadczy o tym, że za parę lat będzie tutaj tętniło wielkoprzemysłowym życiem trzeciego, a niektórzy mówią, że drugiego pod względem zasobności — polskie zagłębie węglowe. Tylko wzmógłony ruch ciężkich samochodów wyładowanych jakimśi rurami i innym technicznym „rupieciami”. Wszystko to gna na złamanie karku w jednym kierunku: **ŁĘCZNA**.

I to ma być polskie Klondyke? Unurzany w błocie rynek otoczony wianuszkami domków, jaka taka restauracja, hotel — dopiero w budowie, dwa bloki — zaczątek przyszłego osiedla, które powoli wylazi z fundamentów. Wszystkiego niespełna 2 tysiące mieszkańców i pięć wieków ciekawej historii, której śladem jest XVIII-wieczny kościół i synagoga pełniąca dziś rolę miejscowego muzeum. Aha — jeszcze coś: jest i przemysł: są trzy zakłady, z których jeden, ten największy zatrudnia 200 osób, a pozostałe dwa nawet nie po setce. Wieje małomiasteczkową melancholią i takim samym oczekiwaniem.

W Urzędzie Gminnym mówią mi, że z tą nową stolicą polskiego węgla w Łęcznej jeszcze nie jest nic pewnego, bo mają bardzo poważnego konkurenta w Milejowie. No, ale że oni się nie dadzą, że za nimi wszystkie racje stoją, że stąd najbliższe do Bogdanki, Puchaczowa i Nadrzybia.

Zapamiętajcie te nazwy. Znajdą się one niebawem nie tylko w gminnych rejestrach, ale i w szkolnych podręcznikach tak jak dziś trafił do nich Rybnicki Okręg Węglowy i Zagłębie Miedziane w Lublinie. Najpierw jednak wszystko to, co tujejsi skłonni

są nazywać cudem musi się zmienić w rzeczywistość. A trudno się dziwić, że są niecierpliwi, że jeszcze nie wierzą do końca, że któryś raz z rzędu — jakby zaniepokojeni pytają: kiedy się to wreszcie stanie?

Chcą i zarazem boją się trochę tego. — Bo — jakże to będzie?

Nie tylko ziemia musi oddać człowiekowi swój dług skrywany skarb, ale i życie w Łęcznej, Milejowie — słysząc do tej pory tylko ze swoich plantacji pomidorów, w tych kilkunastu obrosłych poletkami wioskach, w których rolnicy obrządek wyznaczał czas i obyczajowość, obróci się na nice.

PRZYSZŁOŚĆ WĘGLA

Parę dziesiątek barkowozów rozrzuconych po polu, to znowu popychanych między chałupami. Cztery

— Jeżeli bierzemy pod uwagę głębokość do 600 metrów bardzo korzystną z punktu widzenia wydobywczości, to można mówić o 42 miliardach ton węgla o wartości 6,5 kcal na kilogram. Jeżeli jednak sięgniemy głębiej, do granicy 1.000 metrów to najprawdopodobniej należy jeszcze dorzucić jakieś 20 — 25 miliardów ton...

W tym miejscu, czy chcę czy też nie, muszę przedstawić Czytelnikom pewien rachunek. Otóż:

Zasoby węgla kamiennego — znajdujące się na głębokości do 1.000 metrów — szacowane są w dwóch naszych zagłębiach tzw. górnośląskim i wałbrzyskim, na około 60 miliardów ton. Przypominam — Lubelskie Zagłębie to co najmniej dalszych 40 miliardów.

Jeżeli chcemy zaspokoić nasze potrzeby paliwowe energetyczne to mu-

do ręki niezmiernie ciekawy dokument. Był nim raport ekspertów od węglowych spraw pracujących na zlecenie Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej. Stwierdzają oni w nim, że w początkach nadchodzącego dziesięciolecia Europa będzie potrzebowała rocznie jakieś 70 — 105 milionów ton węgla więcej, a równocześnie własne wydobycie szacuje się na około 60 milionów ton.

Pierwsze tony węglowego urorku z nowej kopalni „Łęczna 1” otrzymamy już za dwa lata, w roku 1977.

DIABEL W GÓRNICZEJ CZAPCE

Na razie wszystko to co ma się tutaj DOPIERO stać — trudno sobie jakoś nawet wyobrazić.

To co dzieje się dziś w tej części naszego kraju, która mimo wszelkich

ale również w kraju. Wiesz? Rolnictwo? 60 procent gospodarstw rolniczych na śląskich łąkach V i VI klasy ziemi. Jaka to tutaj jest urbanizacja — to lepiej nie mówić. Do tej pory szanse dawali sąsiedzi — Świdnik, Lubartów, Rzeszów, na — nawet Śląsk, 20 tysięcy „tutejszych” tam właśnie zarobkowo pracuje i do tej pory, kiedy „wybuchną” lubelskie węgiel łączyło — podejrzewam — swoje życiowe plany nie tyle z ojczyzną co właśnie osadzeniem się tam, gdzie przemysł dawał im nowe szanse, możliwości, inne niż tu, gdzie wieczorem, po rozproszonych oplotkach, po laskach i piaskach tylko licho mówiło dobranoc.

Więc — nadzieja?

Pewność.

Pierwsza robota — to drażnienie odwiertów. Znalazła się praca dla kilkuset z okolicznych wiosek. Nowa droga? Jak strzelił 5 kilometrów betonu. Tam, gdzie dziś stoi Staniława Stysia — stanie mieszkalny wieżowiec? Tamte, gdzie Pawlica krowy dziś wypasa — przedzie centralna ulica jakiegoś — 30-, 40-tysięcznego miasta? W Lublinie mówią, że nie jest to znowu takie pewne, można przecież inaczej, choćby poprzez połączenia już istniejących pobliskich miasteczek oraz samej wojewódzkiej społeczności szybką koleją, już — jak to z naskikiem się tutaj zaznacza — miejską.

Przyjdą też ludzie, wymieszają się z tutejszymi, dadzą im wiele do siebie, choć i od nich się wiele nowego nauka. Trzeba też już dzisiaj rozpocząć kształcenie, bo jakże inaczej — mówią ci z Sosnowca:

— Będą te lubelskie pierony wagi wyciepywać?

Mówi się też o wielu innych jeszcze rzeczach — o pewnych na 100 procent, takich co to jeszcze nie wiadomo no i wreszcie ni sio ni owo... Bo tak na chłopki rozum biorąc, a ten jest tutaj ciągle w najwyższej cenie, jak już jest ten węgiel, to i będą „elektryczki” budowali, może tam coś i innego z fabryk kapnie. A przecież gadają, że coś tam jeszcze w tej ziemi siedzi...

— A siedzi, siedzi — zdenerwował się na takie pogaduszki Kowalczyk, co za wiertaczka tutaj jest.

— Diabeł tam! Machnął ogonem i jest ta cholerna kurawka, a miało jej przecież nie być. Ciorty nadal.

Może i diabeł.

Na utrapienie ludzi, którzy wdarli się im w to nadbużańskie siedlisko. Może...

Tylko dzieciśka nic sobie z tego nie robią. Kiedy w zapusty od chałupy do chałupy chodzą z gwiazdką, to i diabu na łeb wdziady górniczą czapkę.

KRYSZTOF POGORZELEC

TAM GDZIE DIABEŁ MÓWI DOBRANOC...

wieżę wiertniczą i dwie setki ludzi. Bogdanka. Tam gdzie „to” jest. Tam gdzie jest skarb.

Właśnie — jak to jest z tym lubelskim węglem?

Sobczyk, którego chałupa najbliższa jednej z wiertni, ma na ten temat wyrobiony pogląd.

— Ta panie, ja już mówił i tym z Warszawy, tym z Lublina, a i takim co to z telewizji byli. Pod moją chałupą i ogrodem jest tego najwięcej. Nie ma potrzeby z nikim gadać. Toć przecież nie gdzie indziej tylko u mnie w chałupie, w piecu, bodaj to było w sześćdziesiątym szóstym, próbowali tym palić. Ino się bużowało!

Zgadzą się chętnie, choć panie Sobczyk, tak z ręką na sercu mówią, to takich kandydatów od pierwszeństwa i historii lubelskiego węgla spotkałem w samej Bogdance kilku. A swoją drogą to się temu nie dziwię. Znowu nieczęsto u progę XXI wieku, a w samym środku Europy można się poczuć co najmniej współodkrywcę bogactwa śmiało pretendującego do miana jednego z najwartościowszych pod względem zasobności nie tylko na „starym kontynencie”.

Bo oczywiście gra idzie nie o to, co pod chałupą u pana Sobczyka leży.

Węźcie do ręki mapę województwa lubelskiego. Punkty orientacyjne to: Hrubieszów, Chełm, Parczew, Radzyń. To one od wschodu ograniczają obszar liczący ponad 4 tys. km kwadratowych wydłużony na północny zachód, bezwiednie przypominający swoim odbiciem kształt stopy. Pod nią leżą miliardy. Dokładnie — ile? Naukowcy odpowiadają na takie pytanie na ogół dość niechętnie, jednak tym razem mówią z niewzruszonym spokojem:

simy zwiększyć krajowe wydobycie węgla kamiennego z 170 mln ton, jakie osiągniemy w bieżącym roku do około 250 milionów w roku 1990. Takiemu zadaniu nie mogą podolać w pełni już istniejące kopalnie. Jakies 60 mln ton trzeba wybrać z nowych.

Tak więc odkrycie bogatych zasobów węgla kamiennego na Lubelszczyźnie spadło nam jak przysłowiowa manna z nieba. Chociaż nie ma co się ludzi, będzie to kosztowało. Prowadzona już budowa pierwszej tzw. pilotującej kopalni — dwa szyby i trzy kilometry chodników w pokładach węgla pochłonie 1 miliard złotych, z czego 350 milionów jeszcze w bieżącym roku. Czy to się nam opłaci? Dla wszystkich, którzy mają jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości właśnie w tym przedmiocie cytuję wzięty z francuskiego miesięcznika gospodarczego „L'EXPANSION”:

„Od chwili podjęcia przez człowieka działalności przemysłowej spod powierzchni powłoki ziemi wydobyto 130 miliardów ton węgla (w tym polowe po roku 1940) oraz około 42 miliardów ton ropy naftowej. Światowe rezerwy ropy wynoszą od 200 do 800 miliardów jednostek umownych, gdy węgla kamiennego — od 2.000 do 4.000 miliardów takich samych jednostek. Wynika stąd wniosek: jesteśmy w ogromnym stopniu zasobniejsi w węgiel niż w ropę. Odsyła on rolę głównego źródła energii. Nastąpił to na początku XXI wieku, z tym, że stan ten utrzyma się przynajmniej kilka dziesiątków lat i tego węgla nie da sobie szybko odebrać.”

Więc — wielka szansa, nie tylko na dziś, czy na jutro. Niedawno wpadł mi



Foto: CAF

przemian i dokonał przystaje jeszcze w wielu przypadkach do tradycyjnego wizerunku „Polski B”, oznacza nie tylko sięganie do wnętrza ziemi, po leżący tam czarny skarb. W Puchaczowie, kiedy z miejscowymi rozmawiam o lubelskim węglem mówią otwarcie:

— To tak, jakby wszyscy tutaj trafili w tolo-lotku szóstkę.

I mają rację. W Lublinie, od przedstawicieli władz wojewódzkich dowiedziałem się o takich faktach: leżące na „nowym” węgle Parczewskie, Radzyńskie, Włodawskie, Chełmskie, to obszary o najniższym stopniu uprzemysłowienia nie tylko w Lubelskiem, „sach”, kiedy to jeszcze Wolskie Zakłady Przemysłu Barwników w Woli Krzysztoporskiej odprowadzały swoje ścieki do Luciąży, a przez nią do Pilicy. Wtedy to nad brzegami Luciąży i Pilicy chodziły kolorowe gęsi, barwiąc swoje pióra różnymi pigmentami rozpuszczonymi w wodzie wymieszanej ze ściekami fabryki. Do Włodawki wlewał swoje ścieki różni drobni truciele, a ona — rzeka — potrawiała się jeszcze wtedy przed tym bronić.

Budowa Zalewu Sulejowskiego zmusiła do odwrócenia „naturalnego porządku”. Wody Luciąży i Pilicy sta-

ły się niedostępne dla fabryki w Woli Krzysztoporskiej, gdyż zerpało to zatruć Zalewu i wody czepianej dla Łodzi. Wtedy zbudowano kolektor, który „pod górke”, poprzez dział wodny przerosł ścieki Woli Krzysztoporskiej do Rakówki i przez nią dalej do Włodawki. Jednocześnie zaczęto budować w Woli Krzysztoporskiej oczyszczalnię ścieków: najpierw fizyko-chemiczną, która obecnie działa i następnie — biologiczną, która obecnie znajduje się w rozruchu.

Według opinii kierownictwa WZPE w Woli Krzysztoporskiej fizyko-chemiczna oczyszczalnia ścieków oczysz-

ŚRODOWISKO

Bogda Madej

Nad spokojną, cichą rzeką...

W sobotę, 12 kwietnia 1975 roku w „Głosie Robotniczym” ukazała się następująca treść informacji:

„WIDAWKA ZAMIENIONA W KANAŁ ŚCIEKOWY”

„W nocy z 6 na 7 kwietnia br., najczystsza dotychczas rzeka woj. łódzkiego — Widawka — została zamieniona w kanał ściekowy. Przyczynił się do tego Zakład tego Zakładu Przemysłu Barwników w Woli Krzysztoporskiej.

Według relacji naocznych świadków, korytem Widawki płynęły ścieki koloru czerwonego o tak dużym stężeniu, że w niezwykle krótkim czasie zniszczyły w rzece życie biologiczne. (...)

Olbrymie ławice śniących ryb płynęły Widawką przez kilka dni. Zdanem fachowców rzeka ta przez co najmniej 4 lata nie będzie się nadawała do sportowego połowu ryb. (...)

(...) Mniej więcej dwa lata temu w Woli Krzysztoporskiej zbudowano kosztem około 200 mln zł oczyszczalnię ścieków, która miała chronić Widawkę przed zanieczyszczeniami z ZPB. Okazuje się, że ogromna suma społecznych pieniędzy nie przynosi oczekiwanych efektów.

Odnajdujemy, że kilka miesięcy temu „Głos Robotniczy” sygnalizował o odprowadzeniu trujących ścieków z ZPB w Woli Krzysztoporskiej do rzeki Rakówki. Każde to sugerować, że zanieczyszczenie Widawki nie było dziełem przypadku. Po prostu zawiniłi ludzie odpowiedzialni za sprawne działanie oczyszczalni”.

RYSOPIS WIDAWKI

Widawka jest prawym dopływem Warty i do niedawna była najczystsza rzeka województwa łódzkiego. Jak twierdzą specjaliści Polskiego Związku Wędkarskiego była to rzeka o pierwotnym rybobojaniu, nie wymagająca sztucznego zarybiania, a nawet przeciwnie — sztuczne zarybianie nie było wskazane, gdyż popsułoby zestaw ryb, jaki się ukształtował samoczynnie.

W Włodawce — jak ustalili specjaliści Polskiego Związku Wędkarskiego — żyły: brzana, certy, świnki, jelce, szczupaki, płocie i inny pomniejszy „rybi lumpenproletariat”. A stwierdzono to przy pomocy współczesnej techniki. Prądem elektrycznym odurza się na krótki okres ryby w rzece — na niewielkim jej odcinku — aby dzięki temu móc stwierdzić, co pływa i żyje w wodzie. Dzięki tym badaniom Widawkę można było zaliczyć do nieczystych tak zarybionych rzek nie tylko województwa łódzkiego, ale Polski.

Tak było w „zamierzonych cza-



Fot. Archiwum

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

WIENIAWA

Niedawno opublikowaliśmy list czytelnika z Płowa (pow. Brodnica), który napisał, że oświadczył ten general i dyplomata, bo w rodzinnej wsi Lipnica Wielka koło Grybowa nikt nie pozostał z jego rodziny..."

Oczywiście Bolesław Wieniawa-Długoszowski nie jest aż taką postacią historyczną, aby pisać o nim rozprawy. Myślę jednak, że na felieton zasłużył na pewno. Wieniawa był postacią legendarną w latach międzywojennych, ale była to legenda birbanta i cygana. Trzeba przyznać, że dość sympatycznie wspominają tę postać autorzy z kręgów artystycznej cyganerii. Zresztą Wieniawa sam za młodu pisywał wiersze i tłumaczył m.in. Baudelaire'a. Skończył jednak medycynę i był z zawodu lekarzem. Jeździł wierzycy encyklopediom, urodził się w Maksymówce na Ukrainie, a nie — jak sądził nasz czytel-

nik — w Lipnicy koło Grybowa.

Określenie „general i dyplomata” niezbyt przylega do postaci Wieniawy. Generalem był z przypadku — po prostu Piłsudski lubił swego adiutanta, więc go awansował. Dyplomata też był z przypadku i dopiero pod koniec życia. Kiedy generalowie kawalerii niezbyt się przydawali, dano mu synekurę w Rzymie, gdzie Wieniawa został ambasadorem na rok przed wybuchem wojny.

Potem wygłupił się setnie Ignacy Mościcki, mianując Wieniawę po klęsce wrześniowej... prezydentem Polski. Oczywiście do tego nie doszło, bo byłoby to zbyt żalosną anegdotą. Wysłano więc Wieniawę do Stanów Zjednoczonych. „Wielka Encyklopedia Powszechna” podaje, że Długoszowski był w latach 1940-42 ambasadorem rządu emigracyjnego na Kubie. Jest to nieprawda.

Jan Drohojowski, do którego pamiętników mam w tym względzie większe zaufanie niż do WEP, pisze: „Zaprosiłem Wieniawę. Postawiłem mu sześć kieliszków rumu. Zapatrywał się różowo na swoje urządowanie w Hawanie. Nigdy tam nie dotarł. Piłsudczyca tak mu dokuczali „Kubanem”, jaki od Sikorskiego, według nich, dostał za zdradzenie „idei Komendanta”, że zbytnio wychylił się z okna i rozbił o nowojorski bruk”. Było to latem 1942 r.

O Wieniawie przetrwała legenda birbanta i cygana, przyjaciela artystów i... artystek. Tę legendę głoszą dziś wszyscy niemal pamiętnikarze z kręgów artystycznej cyganerii lat międzywojennych. Trudno mieć im to za złe, oni po prostu znali takiego właśnie Wieniawę. Dowcipnego, z puczkiem humoru kompana.

Takim jest właśnie w starej anegdotce o jubileuszu teatryku „Qui pro Quo”. Zwrót ten znaczy — jak wiadomo — mniej więcej tyle, co „nieporozumienie”. I oto na jubileuszu teatru Wieniawa palnął toast (mów nie wygłaszał —

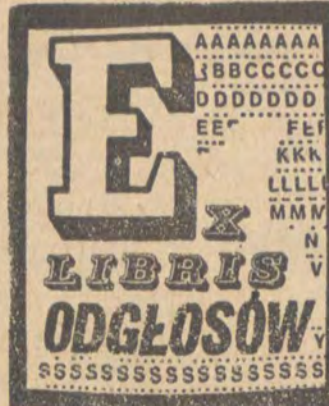
raczej toasty), w którym znalazł się patetyczny zwrot: „Aktorzy „Qui pro Quo” są szwoleżerami polskiego teatru”.

Na to jeden z artystów odparował: „Pan general jest „qui pro quo” polskiej armii”.

Wieniawa podobno, razem ze wszystkimi zasmiał się do leż z tej celnej riposty.

Ale jest jeszcze inna karta losów Wieniawy. Kiedy Piłsudski rozkazał zamordować skrytobójczo swego przeciwnika politycznego, gen. Zagórskiego, w całej tej ponurej i krwawej sprawie przewija się czarna „Mercedes” Wieniawy, którym wzięto Zagórskiego. Na tym „Mercedesie” urywa się ślad zaginionego generała. Ale Wieniawa nie składał wówczas żadnych wyjaśnień. Piłsudski ochronił swego pupila.

I tak mniej więcej wyglądają dwie prawdy o generale, który kochał życie i popełnił samobójstwo, który był w duszy humanistą i brał udział w skrytobójczych mordach.



NASZ ŚWIAT

Nasz świat jest dość skomplikowany, a przecież zdobyć do zrozumienia tego, co się w tym świecie dzieje, do poznania coraz to nowych dziedzin ludzkiej działalności, jedna z nich jest świat informacji. Informacja — jak pisze we wstępie do swej książki „Człowiek w świecie informacji” Edward Kowalczyk — jest (...) pierwotnym i niezbędnym atrybutem oraz symulatore

Edward Kowalczyk — „Człowiek w świecie informacji”, Książka i Wiedza, Warszawa — 1975, str. 286, cena: zł 25,-

WIDOK

LEWYM OKIEM

CISZA W ETERZE?

Posiadaczom tranzystorowych odbiorników radiowych, tym którzy nie rozstają się z hałasującym pudełkiem w parku, w tramwaju, u dentysty i na plaży, żaden program audycji nie jest potrzebny. Pudełko ma tylko wydawać dźwięki, wszystko jedno jakie, byleby nie artykułowane, to znaczy: byleby to nie były słowa. Młodzi ludzie — bo przecież tylko młodzi noszą zawsze w charakterystyczny sposób zgięte ręce od instrumentu dźwiękotwórcy — nie znoszą ciszy, a to może znaczyć dla psychologa: nie znoszą siebie. Coś musi bez przerwy brzęczeć, warczeć, szumieć, najchętniej w rytmie nerwowych podrywów, skoków, mocnych uderzeń. Taki sugestywny, rytmiczny hałas skutecznie zwalnia od potrzeby myślenia, wstuchania się w siebie, (samokontroli), myślowej reakcji na otoczenie. Jedyną reakcją stają się groteskowe drgania kolan, bioder i ramion, czasem też bełkotliwy nidu-
-śpiew, jak w orgastycznym

transie papuasów: mpa pa ti ra, mpa ra ta ra... Nie słucha się więc i nie słyszy ani siebie, ani ptaków w lesie, ani idącej obok dziewczyny. Słyszysz się dominującą nad tym wszystkim perkusją tranzystora, czym głośniejszą tym lepszą. Wydaje mi się natomiast, że odwrotnie wygląda sytuacja w domu „radioty”. Tam też radio musi grać, o ile nie gra akurat telewizor, bo wzajemnie się wykluczają. Pierwszym gestem budzącego się radioty jest sięgnięcie ciężką od snu ręką do galki aparatu: pstryk — niech brzęczy. Ale potem wcale go się nie słyszy, to co płynie z głośnika jest obojętnym i neutralnym item dla normalnych domowych czynności; pani domu gotuje, piecze, prasuje, małżonek goli się, czyta gazetę i typuje Totolotkę, dzieci zwoyczajnie odrabiają lekcje i czytają kryminały, a radio gra. W tych domach także nikt się nie interesuje programem, niech tam sobie brzęczy byle co.

To paradoks, ale radio poważnie traktowane staje się coraz bardziej imprezą elitarną. Liczba osób słuchających naprawdę radia, wybierających takie a nie inne punkty programu, czekających na zapowiedzianą audycję — chyba się kurczy, jednocześnie jednak rosną wymagania tych osób, pod adresem tak twórców radiowych, jak i technicznych warunków transmisji. Tym rosnącym wymaganiom radiofonii polska dotrzymuje kroku, choć oczywiście niektóre zarzuty ujawnione w słynnej dyskusji, spowodowanej przed rokiem z górą przez profesora Suchodolskiego, nie utraciły swej aktualności. Jakość programów radiowych, ich zawartość intelektualna i dowcip przewyższa w mojej ocenie to, co płynnie ku nam ze szklanymi ekranami telewizji, nie mówiąc o muzyce w jej tysiącnych gatunkach, dla której radio jest niezastąpionym, idealnym środkiem przekazu. Aż szkoda, że publicystyka prasowa prawie że przestała interesować się radiofonią. Zniknęły z prasy bez śladu omówienia słuchowisk, stanowiące na przykład stałą rubrykę w przedwojennym kulturalno-literackim „pionie”, nie

ma nigdzie rozważań nad zakresem, formą i rodzajami sztuki radiofonicznej, której kiedyś poświęcano całe książki (Ernst Johannes „Z teorii dramatu radiowego”, Tadeusz Szulc „Artystyczne idee radiofonii i ich geneza”, Zenon Kosidowski „Artystyczne słuchowiska radiowe” i wiele innych).

Czy nie daje do myślenia fakt, że o sztuce wystawianej w teatrze, którą obejrzysz powiedzmy sześć tysięcy osób, piszą po kolei sążniste artykuły wszystkie pisma kulturalne kraju, analizują, rozbiegają, interpretują — a oryginalne słuchowisko radiowe czy choćby typ cyklicznej audycji rozrywkowej, odbieranej latami przez setki tysięcy, a nawet miliony, słuchaczy, pozostaje przemilczany jak rzecz bardzo marginalna, nie zasługująca na zainteresowanie wielkich krytyków krytyki? Oczywiście, poza „Matysiakami”, których uznano za ewenement godny socjologicznej uwagi.

A poza „Matysiakami” to co — cisza w eterze?

CWIEK

PROPOZYCJE

ZEGAR Z PORTRETEM

Zjemy w niebawym po-
-śpiechu. Jest to konieczność. Takie jest tempo naszego życia. Jednakże ten pośpiech powoduje, że tracimy dystans do tego, co robimy. Bardzo często wydaje się nam, że tworzymy nowe wartości, jakich jeszcze nie było, a zapominamy, że już starożytni Rzymianie przestrzegali: „nil novi sub sole” — nie nowego pod słońcem. Warto jednak mieć czas na refleksję, na spojrzenie wstecz, aby mieć podstawę do krytycznego osądu naszej codzienności.

W okresie panowania mody „retro” warto przeszłość nie tylko naśladować, ale poznając ją, uczyć się tym skuteczniejsze działy dziś. Wskłame zapatrze-
-nie we współczesność rozdzi-
-fałszywy sąd, że dawniej wszystko było prymitywne, bo przez ostatnie kilkanaście lat technika dokonała niebywałego skoku, bo niemożliwe dawniej stało się możliwym. Jest to oczywiście prawda, ale w naszym kraju, gdzie ciągłość rozwoju historycznego stale była przerywana, gdzie co kilkadziesiąt lat przez ostatnie stulecia musieliśmy niemal wszystko zaczynać od nowa, warto częściej społgądać w przeszłość i to nie tylko po to, aby śledzić kształtowanie się procesów historycznych, ale aby również lepiej poznać codzienne życie naszych przodków. To bardzo pożyteczne zajęcie, gdyż uczy nas skromności w ocenie własnej pracy.

Jechaliśmy taksówką z moim wielce uczonym kolegą Adamem Lewaszkiewiczem i pa-

trzyliśmy na kolorowy zegar kierowcy. Tarcza tego zegarka umieszczona była na portrecie ładnej dziewczyny. — To bardzo modne — powiedziałem do Adasia, gdy wysiedliśmy.

— Nic nowego pod słońcem — na to Adaś — już kiedyś było. — A ponieważ jest znanym szycerą, spojrzalem na niego z niedowierzaniem. — Pokażę ci dowód, że zegarki z portretem — powiedział na to Adaś — robiono na początku naszego stulecia w bardzo prowincjonalnym Mogilnie.

Istotnie w wydanym w Poznaniu po roku 1911 „Towaroznawstwie” jest duży dział poświęcony ogłoszeniom. Jedno z nich informuje:

„UPRAGNIONA NOWOŚĆ ŚWIATOWA! W tych dniach wyszły z druku w większych rozmiarach ilustrowane cenniki firmy Strzelecki. Specjalnością katalogów tych są zegarki i biżuteria z wszelkiego rodzaju portretami podług każdej nadesłanej fotografii pod gwarancją jak najdokładniejszego podobieństwa i starannego wykonania.”

Aliści z lektury działu ogłoszeń „Towaroznawstwa” można jeszcze dowiedzieć się, że również w 1911 roku krzykiem mody były noszone i dziś drewniak. Tego typu obuwie (na zamieszczonym obok ogłoszenia rysunku drewniak nicyzm nie różni się od dzisiejszego) reklamowały dwie firmy: L. Jędrzejczaka z Krotoszyna i Antoniego Janiaka z Kostrzyna. Antoni Janiak przebił jednak L. Jędrzejczaka, bowiem jego

firma miała następującą brzmiającą dewizę: „Zamówienia wysyłam na żądanie każdego czasu”.

Jak wynika z lektury tych ogłoszeń — a jest ich 108 stron druku — wiele ówczesnych firm z Poznańskiego trudniło się sprzedażą wysylkową, bijąc tym na głowę całą dzisiejszą Polskę, dysponującą jedynym Domem Sprzedaży Wysylkowej, który ma siedzibę i siedzibę w Łodzi. Trudno na podstawie samych ogłoszeń dojść tego, jak wówczas te domy funkcjonowały, gdyż i na podstawie katalogu DSW w Łodzi można tylko dowiedzieć się, co można sobie zamówić, a trzeba dopiero zamówić, aby dowiedzieć się, że można otrzymać zupełnie coś innego, bo reklamowanego towaru akurat „nie dowieźli”. Natomiast B. Rychlewski — zegarmistrz i złotnik ze Srebra — nie bał się reklamować wysylkowej sprzedaży „prawdziwych korali i brylantowych pierścionków”. Poza tym można było w jego „Domu wysylkowym” kupić zegar ścienny szwajcarski, budzik głośno budzący, złote łańcuszki damskie oraz okulary.

Z lektury ogłoszeń, opublikowanych w „Towaroznawstwie” a wydanym w Poznaniu po roku 1911 (brak karty tytułowej nie pozwala ustalić dokładnej daty), można dowiedzieć się na przykład, że „Filatelista — Organ międzynarodowych Filatelistów „Unja”. Jedyny polski miesięcznik ilustrowany, poświęcony wiadomościom zbranla i poznawania znaczków

pocztowych...” wychodził w Rzeszowie, co nas niepomniecznie dziś dziwi, bo dziś taki organ musi nieuchronnie wychodzić w Warszawie.

Z lektury tej można jeszcze dowiedzieć się o rzeczach, które dziś brzmią jak bajki dla grzesznych dzieci, a mianowicie, że niejaki W. Berkan z Berlina „Na życzenie wykonuje ubrania w ciągu doby”. Dziś trzeba byłoby poczekać chyba ze dwa tygodnie. Donat Strabrowski reklamował „kapustę kiszoną nie nogami deptaną jak wychwalana Magdeburka i Lignicka lecz maszyną automatyczną własnego pomysłu”.

Wacław Ozdowski reklamował papierosy „Piast”, twierdząc, że są one „ogólnie znane z dobrego smaku i aromatu”, czego o dzisiejszych papierosach „Piast” powiedzieć nie można.

I abymy zbytnio nie byli dumni z naszych osiągnięć technicznych fabryka K. Zboralskiego produkowała już w 1911 roku „elektryczne aparaty do zapalania z przenośnym płomykiem LUMEN”, które reklamowała jako „pierwszorzędną broń oszczędności zastępującą ca. 300 proc. zapalek”. A Artur Gustowski też z Poznania produkował „Pocztówki polskie narodowe w kolorach” oraz „te same z kamykami i świecidełkami, które wspaniale się przedstawiają”, twierdząc, że „Kto widzi te pocztówki ten je kupi”.

„Towaroznawstwo” przynosi jeszcze pracę anonimowego autora pt. „Reklama jako niezbędny środek handlowy”. Ale o tym przy innej okazji.

MARCIN RODAK

PRZESTROGA

Jedni skłonni są widzieć w science fiction tylko wydmanną fantastykę, inni niemożliwość odierwania się człowieka od Ziemi nawet w jego własnej wyobraźni, a przykład Johna Wyndhama i jego „Dnia trytydów” dowodzi, że może ona też być ostrzeżeniem przed bezrozumnym posługiwaniem się techniką.

Niezłujący już dzisiaj John Wyndham „Dzień trytydów” napisał i wydał w 1951 roku, a więc w okresie trwającej jeszcze „zimnej wojny”. Na świat z jego książki spada kłosa, będąca wynikiem trwałego wysiłku zbrojeń, a także nieopanowanego i niekierowanego rozwoju nauki. Ludzie wyhodowali trytydy — rośliny poruszające się i „nibymyślące”, a kiedy niemal wszyscy oślepli na skutek przypadkowego uruchomienia broni zamkniętej w jednym z satelitów, trytydy — dzieło człowieka — dokonały reszty zniszczenia, zabijając i zjadając ociemniałych ludzi.

Kłosa nie ogarnęła jednak wszystkich ludzi, ale gdzieśśiakiwni próbują na nowo budować świat, zaczynając wszystko od początku. Można powiedzieć, że zawarty jest w tym optymizm, ale można też spojrzeć na to jak na przestrożkę: nieopanowany rozwój cywilizacji grozi nam zagładą, a jeśli część z nas się przed tym uratuje, to zaczynać będzie wszystko od pierwotnej wspólnoty i ludzkości znów nie uchroni się przed pesymistycznym biędami.

Fatalizm? Nie, tylko przestroga, bo teraz jest czas, aby błąd tego się ostrzeż.

John Wyndham należy do klasyków angielskiej science fiction. Do tej pory jego książki nie były u nas publikowane. „Dzień trytydów” jest niewątpliwie jego najwybitniejszą powieścią i po raz pierwszy opublikowaną w Polsce.

John Wyndham — „Dzień trytydów”, przekład Wacława Komarnicka, „Iskry”, Warszawa 1973, str. 375, cena: zł 20,-

„DIALOGI W TRÓJKĄCIE”

„Dialogi w trójkącie” — to tytuł jednego z rozdziałów książki Jana Kurowickiego: „Skryte przejście wartości”, rozdziału, który — jak chce tego sam autor — zastępuje wstęp. „Skryte przejście wartości” noszą podtytuł: „Eseje o światopoglądowych i estetycznych problemach literatury współczesnej”, ale jak się zastrzeżę sam autor, nie dała on obrazu współczesnej literatury, a tylko „pewien sposób myślenia o literaturze i o świecie, w jaki jest ona uwikłana”.

Jan Kurowicki wychodzi z założenia, że krytyka i literatura zostały uwikłane w małżeństwo z konieczności, które było z sobą bo musi, ale najczęściej ignorując się nawzajem. Krytyka nie jest bowiem w stanie zmienić literatury, a literatura nie musi liczyć się z krytyką, gdyż najważniejszą dla niej miarą jest uznanie czytelników. Proponuje więc Jan Kurowicki założenie trójkąta: literatura — krytyka — czytelnik, w którym — przedewszystkiem — dzieje się w trójkącie małżeńskim — zapanowałyby harmonijne współzycie.

Wydaje się, że propozycja Jana Kurowickiego — zawartą w „Skrytym przejściu wartości” — są godną zainteresowania, tym bardziej, że przekonująco umotywowane, choć trudno nam uwierzyć w zapanowanie harmonii w trójkącie — ale dialog w trójkącie zawsze może wyjść z korzyścią przynajmniej dla jednej z trzech stron.

Jan Kurowicki — „Skryte przejście wartości”, Zakład Rodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1973, str. 235, cena: zł 15,-

„KROKI W NIEZNANE”

Od pięciu lat, co roku ukazuje się antologia opowiadań fantastyczno-naukowych. Niedawno ukazał się piąty tom „Kroków w nieznane”, prezentujący wybór tego, co w science-fiction ukazało się nowego i ciekawego. Są tu opowiadania klasyków już tego gatunku: Stanisława Lema, Issaca Asimowa, Arthura C. Clarke’a, Hji Warszawskiego. Jest opowiadanie Roberta Silverbarga, który w USA stał się groźnym konkurentem Issaca Asimowa, jest opowiadanie Kurta Vonneguta — specjalisty od zadawania trafniejszych w sedno pytań, którego książki dyrektorka jednej ze szkół amerykańskich kazala spalić, uznając, że ich lektura burzy w umysłach młodzieży uswiecony przez naukę porządek.

Piąty tom „Kroków w nieznane” przynosi Hji Warszawskiego „Uniwersalny poradnik dla pisarzy fantastów”. Wystarczy przeczytać ten poradnik, aby nigdy więcej nie wziąć do ręki żadnej z książek z gatunku science-fiction. Hja Warszawski z doborowym krytycyzmem odnosi się bowiem do literatury naukowo-fantastycznej, sugerując, że jest ona bardziej fantastyczna niż naukowa i że wystarczy mieć tylko wybujałą wyobraźnię i żadnej wiedzy, aby tworzyć książki, które będą cieszyły się niebywałą popularnością.

Potwierdzeniem tego sądu mogłoby być opowiadanie Arthura C. Clarke’a „Ogień od wewnątrz”, który wpadł na pomysł umieszczenia drugiej cywilizacji, wewnątrz ziemi. Badania nad tą cywilizacją spowodowały, że wyszła ona na powierzchnię i zniknęła ludzkość.

Mimo kipny Hji Warszawskiego i niebawomych pomysłów różnych autorów, literatura fantastyczno-naukowa ma coraz więcej zwolenników i cieszy się nie słabnącym powodzeniem. Dean C. Laughlin, jest skłonny uważać, że przyczyną tego jest naturalna skłonność ludzi do stawiania sobie coraz to nowych pytań. Pytania — według niego — są czynnikiem pobudzającym ludzkość do rozwoju, odpowiedzi, uzyskane na te pytania działają na ludzi usypiająco. Tak więc science-fiction jest jakby namiastką tych pytań, jakie ludzie sobie stawiają. Faktem jest jednak, że brak definicji dla tego gatunku literatury przemawiały na jej korzyść do wybitnie tylko tego, że jest ona czymś żywym, stale rozwijającym się.

Zasługą redakcji „Kroków w nieznane” jest to, że każdemu przynosi też kilka pozycji już ściśle naukowych. Tym razem są to: artykuł Andrzeja Trepiki „Człowiek nie jest samotnym we wszechświecie”, Krzysztofa W. Malinowskiego „Czekając na Kosmldów” oraz fragment książki radzieckiego autora A. Gorbowskiego „Wiedza zbrodni”. A Gorbowski zamuluje się tymi samymi zjawiskami, które widać „w rzeczywistości” — nieoceniony Eric von Däniken, ale znajduje dla nich zupełnie inne wyjaśnienie, nie mniej fantastyczne i zaskakujące.

L. W.

„Kroki w nieznane — Almanach Fantastyczno-Naukowy” — „Iskry”, Warszawa — 1974, wybór Lech Jęczyński, str. 426, cena: 40 zł.



TADEUSZ GICGIER WEHIKUŁ CZASU

TADEUSZ GICGIER — redaktor audycji literackich, poeta i satyryk, autor reportaży. Wydał książki: „Zaczęło się od legendy”, „Gorzkie wody”, „Zimne boje”, „Zimowy owoc”, „Szkiełko i oko”.

W tym samym mniej więcej czasie, kiedy to w małym budynku stacyjnym opatrzonym napisem „Lipce” pracował Władysław Stanisław Reymont i obmyślał fabułę do swego przyszłego powieściowego arcydzieła, na innej, mniejszej szkiełce stacyjnej nieznany człowiek skonstruował wehikuł czasu.

rozkładem jazdy, która zastąpiła napisany kiedyś przez niego odręcznie rozkład. Figurowały na niej nie dwa pociągi, a cztery. Spojrzał odruchowo na cyferblat zegarka i stwierdził, że zegarek ma błąd. Widocznie przejęty uruchomieniem wehikułu czasu zapomniał go nakręcić.

Która też może być godzina? I który rok, czy rzeczywiście ten, na który nacelował wskazówkę wehikułu, a więc 1975? Ważniejsze jednak wydało mu się ustalenie godziny, bo jak tu wychodzić z żółta chorągiewką na peron, skoro nie będzie wiedział, czy pociąg właśnie nadjeżdża? Ustąpił zafasowany na mezo sfatygowanej, drewnianej lawie i zamysłił się głęboko.

Był zły na siebie. Że też nie zajął się czymś sensowniejszym, zamiast konstruować ten zwirowany wehikuł. Nie wiadomo, co go jeszcze może spotkać. A już zarząd kolei zwolni go z pracy? Z zamyslenia wyrwało go dudnienie nadjeżdżającego pociągu. Chwycił chorągiewkę i wybiegł z nią przed stację. Pociąg zatrzymał się na chwilę, czelnyzna zdołał więc odezwać na jednym z wagonów napis: „Białystok — Łódź Fabryczna”. Bardzo go to uradowało. Teraz, nakręciwszy zegarek, mógł ustawić go dokładnie, posługując się rozkładem jazdy. Tak przeliczył, według przebiegających pociągów, regulował od lat swój czasomierz.

Do przyjazdu następnego pociągu miał blisko sześć godzin. Postanowił się zdrzemnąć, wyczerpany wydarzeniami ostatniej nocy. Kiedy obudził się, był już jasny dzień. Poderwał się na równe nogi. Jego zegarek wska-

zywał godzinę siódma, czyli dwie godziny po przejeździe kolejnego pociągu. A jego nie było w tym czasie na peronie!

W tej właśnie chwili usłyszał znane już sobie dudnienie. Nadjechał pociąg, który od dawna powinien być na stacji krańcowej. Było to coś tak niezwyklego, że zbity z tropu czelnyzna zdobył się na desperacki krok i wsiadł do pociągu. Może w ten sposób uda mu się wyjaśnić dręczącą go zagadkę?

Wagon, w którym się znalazł, miał bufet, którego głównym wyposażeniem były skrzynki z piwem. Przy bufecie stało kilku podechmielonych młodzieńców i rechało się na całe gardło. Nasz wynalazca poczuł nagłe mdłości i zawrócił głowy — nigdy dotąd nie jechał szybkojeżdżącym elektrycznym pociągiem.

— Cóż to, wspaniałku, tak pobladłeś — odezwał się do niego jeden z młodych ludzi. — Strzel sobie jedno piwko, a zaraz ci się lepiej zrobi...

Czelnyzna skorzystał z dobrej rady i istotnie: poczuł się rześniej. Potem wypił jeszcze kilka kolejnych piw z młodzieńcami. Tymczasem pociąg zbliżył się do stacji końcowej. Pod semaforem stanął i czekał na wolny przejazd. Z daleka, od strony dworca, zaczęły dochodzić jakieś dziwne głosy, jakby ktoś mówił przez tubę:

— Opóźniony o 90 minut pociąg pośpieszny z Lublina wjeżdża na tor przy peronie drugim.

— Pociąg pośpieszny z Rzeszowa przybędzie z opóźnieniem 120 minut.

— Opóźniony o 180 minut pociąg osobowy z Siedlec wjeżdża za chwilę na tor przy peronie czwartym.

W głowie wynalazcy, aczkolwiek zamroczonego piwem, zaczęło coś świtać. Zauważył, że została wyjaśniona. Postanowił wrócić najbliższemu pociągowi do swej stacji, a zaraz potem — do swojego czasu.

Gdy znalazł się u siebie, odczekał z ulgą. Wszedł ponownie do wnętrza wehikułu, ustawił jego wskazówkę na rok 1900. Zakręcił korbką, ale machina ani drgnęła. Zakręcił mocniej drugi raz, znowu bez skutku. Poem raz trzeci, czwarty, piąty. Zrozumiał, że coś się w wehikułe zacięło. Wyglądało na to, że musi pozostać w czasie, na który tak lekomyślnie się zdecydował.



MARIAN JEŻEWSKI

SIADACZ

MARIAN JEŻEWSKI — kierownik redakcji estradowej „Program z dywanikiem”, autor tekstów satyrycznych, reżyser i konferansjer.

Osoby: Naczelnik — X
Petent — Y

— Niech pan sobie spocznie — Ja mogę postać, panie naczelniku.

— Proszę bardzo. Chociaż domyśla się pan dlaczego pańska kandydaturę bierzemy pod uwagę?

— Tak, sądząc o ogłoszenia, poszukujecie mężczyzny postawnego, z dobrą prezentacją o wadze w pobliżu 100 kg.

— Tak. To wszystko prawda. Jeżeli pan zaakceptuje nasze warunki możemy przyjąć pana na okres próbny.

— A jaka pensja?

— Bez dodatków 2 tysiące, do tego dochodzi litr mleka za pracę w warunkach szkodliwych, ponadto dwie pary spodni jako wyposażenie robocze.

— To na czym ma polegać moja praca?

— Pan będzie u nas siadaczem.

— Wolalbym posiadaczem.

— Niestety, zwyczajnym siadaczem, w III grupie uposażenia, wg taryfikatora dla osób z wykształceniem niepełnym średnim.

— Muszę podziękować. Nie nadaję się, bo ja mam pełne.

— Nie szkodzi. Nie musi się pan do tego przyznawać.

— Ale jeszcze wciąż, panie naczelniku, nie domyślam się co to za funkcja ten siadacz.

— Ja panu wytłumaczę. Pan wie, że u nas dziennie wyrabiamy ponad 10 tysięcy krzesel różnych gatunków i fasonów.

— Boże kochany, fluż to ludzi można by posadzić.

— Więc pan będzie na tych krzesłach siadał w celach kontrolnych. Czy siedzisko wygodne, czy oparcie nie za niskie, czy nożki równo przycięte itd. itp.

— Ja mam siadać 10 tysięcy razy dziennie?

— Taki jest akord. A potem w ramach awansu przejdzie pan na dniówkę i będzie pan sprawdził co drugie krzesło. Za dwa lata co trzecie itd.

— Strasznie nudne i mechaniczne zajęcie. I powiem szczerze — małe perspektywy awansu.

— Dlaczego... potem w ramach podnoszenia kwalifikacji będzie pan siadywał na szezłogach, fotelach, kanapach...

— Chyba nie skorzystam z tej oferty. Panie naczelniku, nim ja dojdę do kanapy...

— Zapomniałem dodać, że w nadgodzinach może pan dorobić przy kontroli wieszaków giętych.

— Na wisielca to ja się już zupełnie nie nadaję. Dziękuję bardzo. Zaangażuję się chyba na wyciągu krzesłowym w Karpaczu. Praca na powietrzu i stale człowiek jedzie w górę. Zegnam.



WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

TU SIĘ PRACUJE

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — redaktor audycji estradowej „Wesoły autobus”, prozaik, felietonista, satyryk. Opublikował m. in. zbiór opowiadań „Jednak festem”.

Gdzie się obróć, zaraz kłopot — zawsze na moment trafiam zły, zawsze nie w porę, nie a'propos bardzo przepraszam, przykro mi...

Ludzie roboty mnóstwo mają — pot z czołek spływa im ze strach, i tacy jak ja przeskadzają — co za element, ach!

Jeden pracuje, drugi pracuje, a ja przychodzę — wszyscy psują każdy swój gest i krok zakłóca pracę toku.

Idę na pocztę listów nadać — wszak diabli nie nadadzą go — staję w okienku i powiadam: dwa znaczki po sześćdziesiąt grosi...

Paniuszka się uśmiecha w transie Liczydła suwa wte i wte trzaska raz — raz, a po kwadransie słusznie poucza mnie:

Tu się pracuje, tu się pracuje — pan — widzę — pracy nie szanuje. Przepraszam — mówię — i kieruję się do drzwi.

W urzędzie za szeroki biurkiem studiuję akta tysz pan — spina spinaczem, wiąże sznurkiem — a ja — psiakość — ja sprawę mam.

„Ja, właśnie... tego... oo... z podaniem, już mi — powiadam — nerwów brak...”

A — on zdziwiony niesłychanie z wyrzutem mówi tak:

Tu się pracuje, tu się pracuje, a pan zanudza, denerwuje. Przepraszam — mówię — i kieruję się do drzwi.

Tak to jak intruz wszędzie chodzi, gdzie wcale nie prosili mnie — tutaj przeszkodził, tam przeszkodził — czynnik rozkładu — znaczy się.

Pójdę ja pójdę do prokuratora i donos złożę mu, że jestem taka kreatura, co denerwuje dzień po dniu.

Co tysiąc sprawek ma bytowych i różnych innych kupę też — niech by mi wreszcie ścięli głowę, albo zamknęli gdzieś na fest...

TADEUSZ GICGIER FRASZKI

KOLEJNOŚĆ
Od czasu, gdy w rajskim ogrodzie Adam zadurzył się w Ewie, najpierw bujają się w sobie, potem bujają siebie.

KTO
Kto dziś zawija rękawy do pracy?

Chyba rybacy.

KONIECZNOŚĆ
I manę z nieba, też zbierać trzeba.

KRÓTKA
historia życia
Najpierw utracjusz, potem kuracjusz.

KOGO
Od pracy się kiwali i panów oszukiwali.
Dziś, na swoim żyjąc chlebie, kogo kiwamy? Nie siebie?

KAWAŁ
Kawał to arystokratki ta, co w herbie ma pośladek.

KOLEJ RZECZY
Najpierw człek jest szczipły w pasie, potem człek się w pasie pasie.

KOGUCIK
Cóż to za kogucik: zapał i uciekł.

KONFIGURACJA
On może, ona broń Boże!

KOBIETA ROZUMNA
Mądrości życiowej otacza ją nim, bo wie, po co żyje (choć nie wie już z kim).



JERZY HUTEK Z dużej CHMURY

JERZY HUTEK — redaktor „Programu z dywanikiem”.

Osoby: A — Pan ponury
B — Pan wesoły
C — Pan pracowity

A Zaraz lunie, co za pogoda.
B Ja to nawet lubię taką jesienią szarugę. Człowiekowi od razu takosk tak poetycznie. Prawda? (do Pana C)
C Prawda Wigoc dla rolnictwa jest tym czym cukier dla konia. Sam miód.
A Malaria nas nie minie. Krzywja bójdzie w górę. Wypadki drogowe, kawaly, a nawet zwykła crypka. Proszę panów jeśli nie leczona...
B Co pan mówi? Przy dzisiejszej medycynie...

C Najważniejsze żebyśmy byli...
B Zdrowi. (kicha)
C To też, (kicha) Ale żebyśmy byli każdy na swoim miejscu, przy warsztacie pracy

A A jednego pana to szukali dwa lata.
B Ale chyba się znalazł?

A Tak. Był w tapczanie.
C Pewnie tapicer. Nasz przemysł meblowy wykazuje ostatnio dużą dynamikę.

A A drugiego pana, to szukali trzy lata. I wiece panowie gdzie był? Obok głównego nurtu przemian.

C Takiego to trudno znaleźć.
A Zapisal się raz na zebraniu do głosu. Od razu wyszło sztydo z worka.

B Z workiem to jest taka dobra zabawa. Zakładam się worek na nogi i wysięję. Na czasach się bawiliśmy. Dobrze.

C To przez trzy lata nawet czeł nie czytał. To leń dopiero.

A A ja panom powiem. Ani leń, ani zabawniś — tylko chory.

C Jakby nie patrzeć — przypadek

jednostkowy i nie ważnego. Ogólnie to jest pewien postep. Prawda?
B Oczywiście. Rozrywka pozycyliła u nas ogromne te... spustoszenia. W każde puste miejsce mamy rozrywkę. Dobrze mówię

A A ja panom powiem, że to jest paraliż sędzi taki człowiek na zebraniu. Paprotka, zielone sukno, te rzeczy... W protokole zapisza — obecny, a ogólnie to go nie ma.

Taki paraliż potrafi ogarnąć duże grupy. Bajećny widok.

B To taka zabawa, wie pan.
C No dobrze. To kto wysłada?

B Mnie pan przekonał.
A Jasne. Mnie też

B Pójdzie pan na te naradę, zabawi się pan, rozewnie, uśmieje...
A Lepiej niech pan obserwuje. Choroba musi dać znać o sobie na każdej naradzie, na każdej.

B I panie Kaziu, niech pan podstempluje nasze delegacje. Proszę. (wstępuje blankiety) A my tu za pana zaprzamy w tysiąca. (C. wychodzi).

A Pan tasuje.

TADEUSZ B. DOBRZYŃSKI ZBRODNIA DOSKONAŁA mini — kryminał



TADEUSZ DOBRZYŃSKI — współautor „Programu z dywanikiem”, redaktor muzyczny, kompozytor.

Poznałem wczoraj wiewiórkę. Na imię ma Barbara.

„Ty jesteś inna niż wszystkie” — rzekłem jej. — „Taka stara! Inne migają tylko i rażą, oczy jak płomień...”

Ty masz tę dziwną szarość! Jak żadne z tamtych wspomnień.

Nawet gdy pustą (powiadam) skorupkę trzymasz w łapkach to z takim wdziękiem, że oddech aż odwołikowi zatka!

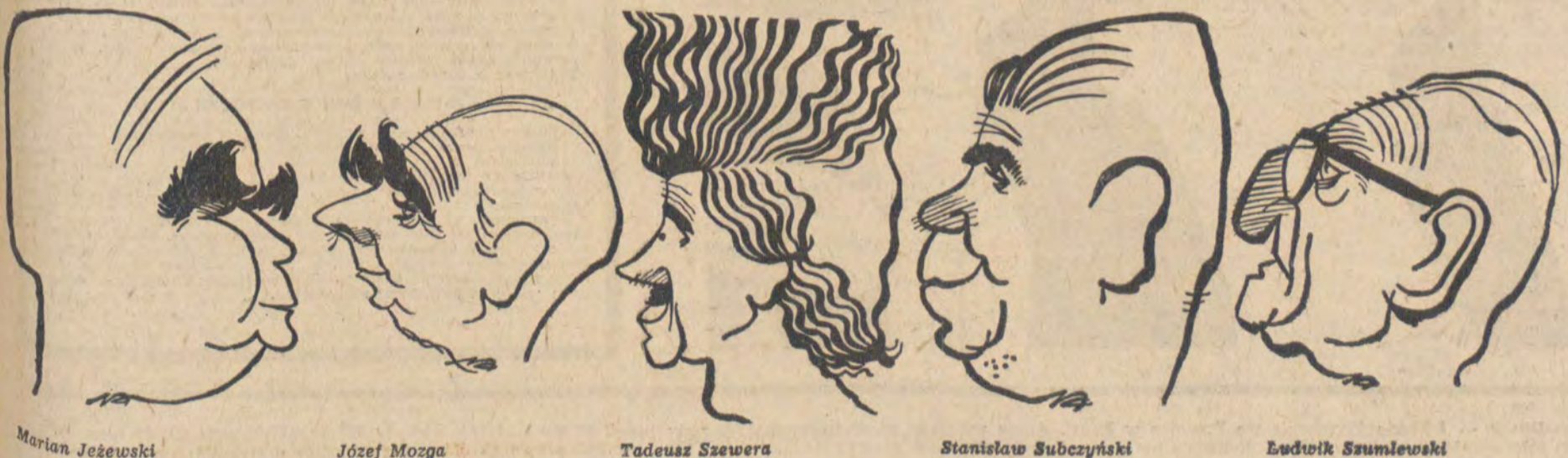
Chciałbym przy tobie marzyć w cieniu tych drzew...
O zmierzchu...”

„No, fajnie!” — Basia na to, „...a ile dasz orzeszków?”

Wypchałem wczoraj wiewiórkę. Na imię miała Barbara. Milicjant spojrzal — j tylko mandatem mnie ukarał.

Nie wiedział, że w alejce o zmierzchu pod akacją punkt szósta miało miejsce morderstwo. —
Z PREMEDITACJĄ!

KARYKATURY SŁAWOMIRA ARABSKIEGO



Marian Jeżewski Józef Moga Tadeusz Szewera Stanisław Subczyński Ludwik Szumlewski

MAGAZYN

ODGŁOSY

Skromne uwagi tego poradnika, zgodnie z życzeniem autora, winny być pomocą dla tych wszystkich, którzy — słusznie lub nielszusznie — pragną się poświęcić działalności pisarskiej. Uwagi podane są w punktach, może nie zawsze w tej kolejności, która gwarantuje zdobycie powodzenia w możliwie szybkim czasie, ale to przecież nie jest najistotniejsze.

1 — Przede wszystkim należy nabyć maszynę do pisania, bez względu na okoliczności i materialną sytuację w jakiej znajdujemy się w chwili podjęcia tej zasadniczej decyzji.

Maszynę kupuje się najlepiej, zamieszczając odpowiednie ogłoszenie w prasie. Dobrze, jeżeli już w ogłoszeniu podamy, że „maszynę pragnie nabyć młody literat” — może to być bowiem i pomyślną wróżbą na przyszłość, a i ludzie, w takich wypadkach nie trzymają się twardego wygórowanej ceny, bo podchodzą do nas z wyrozumiałością i życzliwością, jak do chorych.

Posiadanie własnej maszyny pozwoli nam uniknąć wglądu osób postronnych w pierwsze plody naszej wyobraźni, co również nie jest bez znaczenia zarówno w wypadku powodzenia naszego przedsięwzięcia jak i całkowitego niewypału.

Pisać na maszynie można jednym palcem, lepiej jednak jest zacząć od razu dwoma —

prawa ręka jeden, lewa ręka jeden.

2 — Po nabyciu maszyny do pisania kupujemy podręcznik: „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem

EDWARD KOPCZYŃSKI

VADEMECUM DLA PISZĄCYCH

ortograficznym”, co w naszym budżecie nie stanowi już wielkiego wydatku. Do rozwiania wątpliwości, jakie tu mogą się zrodzić, autor wyjaśnia, że słownikami posługują się nawet wyspecjalizowani redaktorzy we wszystkich wydawnictwach.

3 — Po nabyciu maszyny i słownika powinniśmy zdecydować, jaką dziedzinę literatury mamy zamiar uprawiać. Można startować w prozie, w formach dużych lub małych. Można wybrać powieść sensacyjną, rozrywkową, dla młodzieży — a nawet, jeżeli mamy dużo odwagi i trwałe podstawy materialne — również powieść najzupełniej na serio.

4 — Kiedy mamy już

pierwszy produkt naszej wyobraźni w postaci opowiadania, felietonu, wiersza czy nawet powieści, powielamy go w ilości kilkudziesięciu egzemplarzy i, korzystając z informatyków, wysyłamy go do zainteresowanych instytucji. Po wysłaniu nie jest wskazane biernie oczekiwanie na odpowiedź, ale należy rozpocząć zawieranie osobistych kontaktów z osobami, od których zależy nasze powodzenie. Nie należy zrażać się pierwszymi niepowodzeniami, należy stosować tu zasadę: wyrzucili cię drzwiami, wracaj

nem pierwszych dzieł, należy zmienić tryb życia. Należy być w miejscach, gdzie kręca się literaci. Nie należy się narzucać, ale należy uważać, czy któryś czegoś nie potrzebuje (np. zapalek) lub, czy któryś czegoś nie zgubił (np. chusteczki) — bowiem przez odpowiednie w danej chwili zadziałanie, możemy zawrzeć przydatne znajomości, które następnie możemy odpowiednio użytkować. Możemy powiedzieć na przykład: Poeta Drożdżyk jest tak roztargniony, że zgubił wczoraj chustkę do nosa — a to zawsze robi wrażenie.

6 — Dobrze jest również (już po nabyciu maszyny) czymś się odznaczyć — może to być mały skandalik w dobrym tonie, bohaterka postawa w czasie pożaru czy powodzi, lub nawet odważna interwencja w obronie kobiety napastowanej przez chuliganów. Jeżeli nic się nie trafia, należy coś wymyślić — od czego wyobraźnia literacka.

7 — Dobrze jest również rozzejrzeć się za odpowiednią posadą (po nabyciu maszyny), bowiem wiadomo powszechnie, że nie ze wszystkich punktów start jest jednakowo łatwy. Trudniej jest na przykład wystartować do literatury z dyrektora fabryki transformatorów niż z dyrektora biblioteki, albo na przykład z dyrektora powiatowego szpitala, niż z dyrektora drukarni.

8 — Dla zapewnienia sobie jednak całkowitego powodzenia, pamiętając o uwagach podanych wyżej, należy pisać interesująco, w czym już niżej vademecum pomóc nie może.

Z tomu: „Vademecum dla piszących” przygotowywanego dla wydawnictwa „Na księżycu”.

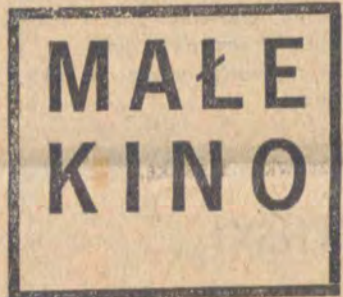
DOWCIPNA WYPOWIEDZ

Raz w pewnym inteligentnym i docieklwym towarzystwie, przy kieliszeczku pomarańczówki padło pytanie: „O czym rozmawiają reżyserzy filmowi, gdy są zupełnie sami?” Ktoś szukając odpowiedzi rzucił: „Oni wymieniają między sobą idee twórcze...” Ktoś inny zaprzeczył, rozgorzała polemika, szykowano się do bójk. Wtedy o głos poprosił najstarszy wiekiem emeryt Jabłoński. „Ja wiem — rzekł — oni o babach mówią!”. Obecnie w towarzystwie panie oklaskami nagrodzili dowcipną wypowiedź.

WYCISK Z BIALOWIEŻY

Amerykańska gwiazda fil-

mowa Zoia Milo przez przeszło dwadzieścia lat trwała w błędzie sądząc, iż popularna



„Zubrówka” jest naturalnym sokiem otrzymywanym z tego sympatycznego stworzenia. Po wprowadzeniu z błędu, roz-

goryczona gwiazda porzuciła swój ukochany napój. Nałóg jest jednak nałogiem i uparta gwiazda przyjeżdża w lecie do Białowieży, by własnoręcznie wycisnąć zuba.

JESIENNE PLANY

W Kopenhadze żyje człowiek, który ma głowę jak gruszka. Nasza TV czyni usilne starania, by umożliwić nam obejrzenie tej głowy w programie jesiennym. Gdyby jednak starania nie odniosły skutku, to już na pewno w okresie wykopu ziemniaków pokaże się kogoś o okrągłym nosie.

PRZYKRE WSPOMINKI

Sędziwy rolnik z Glinnej

Jan Napomuc z niechęcią wspomina przedwojenne czasy. Nic dziwnego! Chęć udać się z rodziną do kina, musiał on dzielić jeden bilet na cztery części. Równocześnie należało podkreślić, iż repertuar ówczesny też pozostawiał wiele do życzenia.

ZĘBY MARZEN

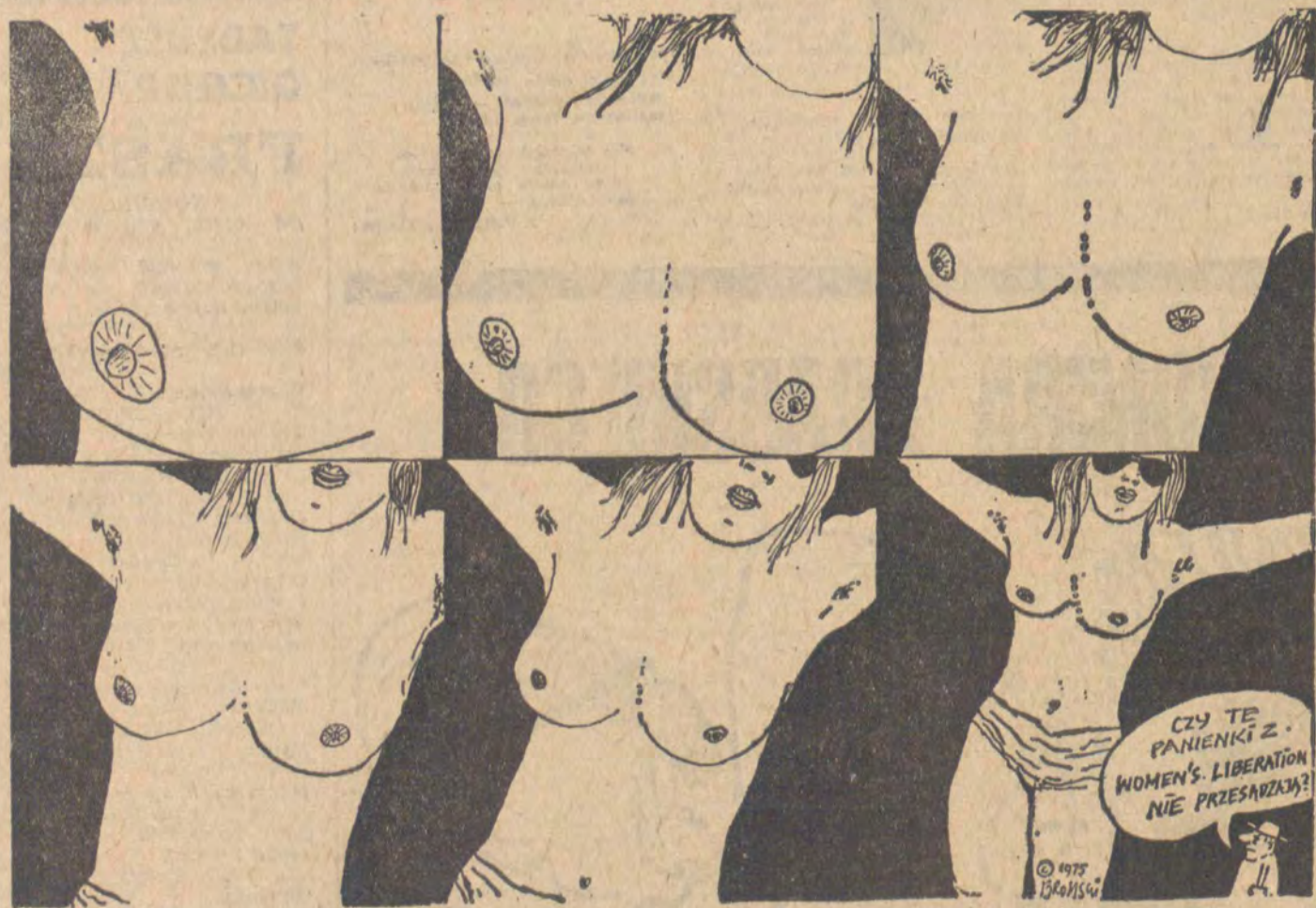
Pan Jan Cichoń z Sosnowca długo marzył o posiadaniu wanny, w której kąpała się kiedyś aktorka filmowa. Takiej wanny, niestety, nie udało mu się zdobyć. Od kilku dni jest on natomiast szczęśliwym posiadaczem plastikowej szklancezki, w której przez całą noc przechowywał zęby pewien niezły tenor operowy.



Fot. Włodzimierz Partyś

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

RYSOWAŁ:
JACEK
BROMSKI



POWIĘKSZENIA

KOLEDZY Z TELEWIZJI

W kwietniowym numerze „Prasy Polskiej” red. Halka Buczyńska z „Życia Warszawy” zali się na piętnastu kolegów z telewizji, że choć ich pytał o nią zagraniczny dziennikarz, nie umieli nic lepszego powiedzieć o koleżance, ponad to, że już nie żyje. Myśląc ją zresztą z pewną aktorką o takim samym nazwisku.

Osobiście nie dziwiłbym się kolegom z telewizji. Widocznie nad „Życie Warszawy” przedkładają życie towarzyskie.

ANEKDOTY

Krzyszyna Sienkiewicz (artystka) opowiedziała w radiowym Magazynie Autorów dwie cenne anegdoty:
Pierwsza: „W tramwaju przepycha się rudy i spotyka tysego. „Cóż — mówi rudy — nie dała Bozia włosów, nie dała...”. A na to tysego: „Proszę bilety do kontroli!”
Druga: „Rozmawia dwóch facetów. „Co robisz z rannym braskiem? — pyta jeden. Ten drugi nie dostyżal i pyta: „Z czym?” — „Ja tak samo” — mówi pierwszy.”
Dobrze! Więcej powiem, Takie sobie.

PING-PONG

Dawny ping-pong nazywa się dziś tenisem stołowym i nie jest już zabawą, lecz dyscypliną sportową. Brak sukcesów w ping-pongu tak wyjaśnia na łamach „Expressu Ilustrowanego” trener: „My stosujemy inną farbę niż zagraniczne firmy. W rezultacie inna jest matowość powierzchni polskich stołów (...). Dla zawodnika ma to ogromne znaczenie. Przyczyną do własnego szczytu nie czują się pewnie podczas międzynarodowych występów. W tej sprawie powinni wreszcie zapasać decyzje...”
Ping-pong a sprawa polska?

JACEK BROMSKI W KATEGORII „S”

„Kulisy” publikują listę polskich prezenterów dyskotek, dodając w nawiasie uwagę „stan na dzień 1 kwietnia 1975”. Ale nie jest to Prima Aprilis.
Okazuje się, że Ministerstwo Kultury i Sztuki ustaliło trzy kategorie prezenterów — „S”, „A” i „B” oraz dyscypliny dodatkowa tzw. „prawo współpracy”.
W kategorii „S” znajduje się w Polsce tylko 14 osób. Na pierwszym miejscu tej listy figuruje nasz stary znajomy, Jacek Bromski („Story”, czyli „Opowieści nieprawdziwe”). W ten sposób „Magazyn Odgłosów” osiągnął kategorię „S” w związku z czym za czytanie ostatniej strony naszego tygodnika pobierać będziemy dodatkową opłatę za działalność rozrywkową.